MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr. 55. WARSZAWA, 22 GRUDNIA 1929 R. CENA NUMERU 80 GR.

GWIAZDKA 1929

KULTURA uczuć polskich związała silnie myśl religijną z życiem świadomości narodowej. Polski hymn narodowy jest religijny. Dlatego też łatwo jest w takiej porze, jak Boże Narodzenie, porozumieć się po polsku o najogólniejszych zagadnieniach życia narodowego, właśnie ze stanowiska odradzania się, jako prawa rozwoju. Byłoby to wielkiem zubożeniem ducha, gdyby uczucia świąteczne nie miały mocy ogarniania psychiki społecznej, zwłaszcza gdyby nie poruszały uczuć narodowych, tak spokrewnionych z rodzinnemi.

To głębokie życie uczuć patrjotycznych jest nieodzownym warunkiem narodzin myśli narodowej. Niepodobna obojętnie myśleć o narodzie i jego losach. A losem narodu są jego zadania historyczne. Losem narodu polskiego w niewoli, losem tragicznym było to, że nie mógł zadań swoich spełniać; losem szczęsnym w niepodległości jest to, że może je spełniać.

Pytanie, które dzisiaj nam się narzuca, jest takie: kiedy ta możność spełniania zadań przestaje być tylko formalną. Bo póki jest formalną, to jakby nie było niepodległości. Oczywiście wtedy zaznamy prawdziwej niepodległości, gdy formę jej potrafimy wypełnić treścią spełnianych zadań historycznych.

Czy dorośliśmy do tych zadań? Oto dręczące pytanie dzisiejszego pokolenia. Szukać odpowiedzi na takie pytanie trzeba, aby nie odurzać się optymizmem, ale też z drugiej strony — aby nie pozwolić sobie narzucać pesymizmu. Ponad stan własnych sił żyć długo nie sposób, ale też żyć niżej stanu jest hańbą człowieka wolnego. Bo wolność — to prawo wydatkowania swoich sił na tworzenie, to właśnie życie w pełni.

Społeczeństwo polskie dopiero dojrzewa. Nikomu z ludzi umiejących myśleć o stanie narodu i jego zadaniach, nie było tajne, że przeżywać będziemy ciężkie lata, zanim człowiek średni w Polsce dojrzeje do zadań politycznych. Polska, na takim człowieku oparta, dopiero przyjdzie. To, co dziś przechodzimy, to borykanie się organizmu z toksynami niewolnictwa i z trucizną sączoną w nasz organizm przez wrogów polskiego życia twórczego. Jakaś powrotna fala starej cywilizacji polskiej, idącej z zachodu, odbita od granic wschodnich, zalała nas przyniesionym stamtąd namułem błotnym, pełnym miazmatów anarchji. Daje się odczuć jakby odpływ cywilizacji. Będzie temu jednak rychły koniec, a optymizm ten nasz oparty jest na faktach, które świadczą, że zbliża się „świt lepszego jutra".

Pod tym właśnie tytułem Roman Dmowski ogłosił teraz doniosłego znaczenia uwagi. Dmowski stwierdza na zasadzie objawów bieżącego życia, że nastaje nieznana staremu pokoleniu jednolitość duchowa naszej młodzieży. Upadkowi naszemu towarzyszyło rozbicie duchowe narodu nietylko polityczne, ale moralne. Pokolenie, które nadchodzi, odbudowuje zrujnowanego w niewoli ducha narodu. „Ono będzie zdolne wydać z siebie silny i trwały rząd, oparty o potężną większość świadomego narodu, który swoją wolę krajowi podyktuje". Wyłania sie w Polsce ład duchowy i obyczajowy. „Polska jutrzejsza wydobędzie się z chaosu, w którym dziś żyje".

Taką zapowiedź świtu lepszego jutra składa narodowi przy opłatku wódz Obozu Wielkiej Polski, a złożyć ją może w sposób autorytatywny dlatego, że na tę lepszą przyszłość ze swojem pokoleniem całe życie pracował.

O stosunku jednostki do narodu, a narodu do państwa dlatego panują wśród nas tak rozbieżne pojęcia, wytwarzające anarchję polityczną, że inteligencja polska od szeregu pokoleń bałamuciła się po bezdrożach doktryn. Prawdę uratował obóz, który już przed kilkudziesięciu laty spostrzegł grożący Polsce zamęt i ślubował wierność zmysłowi historycznemu. Co robić dzisiaj, na co liczyć w przyszłości, pytać trzeba tych, którzy, jak Dmowski, poświęcili całą energję myśli badaniu tętna narodowego i uświadomiali myśl dziejową.

Cóż było dzisięć lat temu? Dmowski podpisywał traktat Wersalski. Był to dla niego logiczny wynik polskich dążeń politycznych — nie cud, ani niespodzianka, ani zagadka. Przeciwnikom jego polityki, którzy drogę zgadywali, bo zagubili kontakt z życiem dziejowem narodu, wydało się to zdarzenie jakąś uzurpacją trafu w grze na loterji. Dzisiaj jeszcze — dosyć się przypatrzeć ludziom, którzy w Polsce gospodarują — chcianoby się odegrać, bodajby unieważniając tamten wynik, byle stawiać dalej na swoją kartę. Tak dalecy są od prawdy poznawczej i moralnej. Wszystko mają prócz spokoju sumienia i — przyszłości.

Dmowski podpisał 10 lat temu traktat, który dał Polsce możność formalną spełniania zadań dziejowych. Teraz przebywamy ferment konsolidowania się społeczeństwa polskiego, aby mogło te zadania spełniać faktycznie. Wyrosnąć musi plon z posiewu ideowego. Nie tylko pracę dyplomatyczną wykonywał Dmowski, on też siał. Nikt za społeczeństwo zadań nie wykona. Oto rośnie teraz jak gaj nowe pokolenie, a przed 40 laty zaledwie płonki kiełkowały wśród ruin pogrodzonego kordonami kraju.

To znowu nie przypadek, lecz rezultaty pracy. Dosyć wskazać jej etapy. W r. 1909 — skoro idziemy dziesięcioleciami — była już książka Dmowskiego „Niemcy, Rosja i kwestja polska", będąca ogniwem, które wiąże pracę publicystyczną Dmowskiego w kraju z r. 1919. Jeszcze 10 lat wstecz — to „Przegląd Wszechpolski", obraz wytężonej pracy myślowej i wychowawczej, na ileż wyższym poziomie, niż pierwsze kroki stawiane w „Głosie" 1889!

Nie trzeba sięgać głębiej, do roku np. 1879, gdzie cisza i pustka ideowa na wielkich obszarach Polski. Już ten jeden szereg dziesięcioleci od 1889 do 1919, objętych pracą Dmowskiego, daje nam obraz, jak postępowała wgórę, niby po szczeblach, polska myśl narodowa, która dzisiaj stała się dobytkiem pierwszego w wolnej Polsce młodego pokolenia. Zapowiedź świtu lepszej przyszłości oparta jest nie tylko na oderwanym fakcie, lecz na znajomości procesu historycznego.

Ten proces rozpoczął nową epokę na wielką skalę po r. 1919. Nie tylko dlatego, że uzyskaliśmy ramy państwowe dla swego rozwoju. Rzeczowo rozwój ten umożliwiło zjednoczenie dzielnic. Teraz dopiero mogło przyjść poczucie siły, która spoczywała w narodzie. Poczucie to udzieliło się przedewszystkiem młodzieży.

Poczucie to płynie z realnych faktów, dokonywających się w łonie społeczeństwa. One świadczą, że zjednoczenie nastąpiło rzeczywiście, że nie jest tylko nowym obrazem kartograficznym w geografji, ale że dokonywa się w organiźmie, jako szybka reorganizacja sił wytwórczych. Mieliśmy w tym roku 1929 wspaniały pokaz tej rzeczywistości na wystawie poznańskiej. Kto umiał wyczytać w niej znaki czasu, ten podzielić musi wniosek prof. Stefana Zaleskiego w przedmowie do dzieła „Bilans gospodarczy dziesięciolecia Polski niepodległej":

„Pierwsze dziesięciolecie niepodległości przyniosło nam wspaniały, prawdziwie królewski dar w postaci zrośnięcia się i zespolenia rozdzielonych granicami politycznemi części organizmu narodowego". Wystawa ujawniła to we wspaniałym pokazie płodów pracy, którą życie zdołało już zespolić w jedną organiczną całość.

Oto dowody odradzania się społeczeństwa polskiego, świadczące o żywotności organizmu i zdrowiu duchowem młodego pokolenia. Więc z otuchą patrzmy w przyszłość i życzmy sobie przy opłatku, aby temu naturalnemu rozwojowi nie przeszkadzano eksperymentami.

Zbyt poważne są zadania dziejowe Polski, abyśmy pozwalali bawić się niemi radośnie amatorom polityki.

ZYGMUNT WASILEWSKI

OD WYDAWNICTWA

Dziękując gorąco tym, którzy nadesłali adresy znajomych i tym, którzy już zrobili zamówienia na „Myśl Narodową", upraszamy wszystkich przyjaciół pisma o nadsyłanie jaknajrychlejsze dalszych adresów i zamówień, abyśmy mogli na czas ustalić nakład wydawnictwa.

Wszystkim czytelnikom i współpracownikom Redakcja i Administracja „Myśli Narodowej" przesyła życzenia

WESOŁYCH ŚWIĄT!

NA FIRMAMENCIE GENEWY

PRZEGLĄDAJĄC publikacje, poświęcone organizacji Ligi Narodów, a mianowicie *„Annuaire de la Société des Nations“* za rok 1929 oraz wydawnictwo z serji t. zw. *Parchement Guides* p. t. *„The League of Nations a Survey, a Directory and a Who's Who"*, mamy możność zaobserwować pracę Ligi niejako od wewnątrz, zorjentować się w strukturze jej głównych organów oraz ciał technicznych, słowem przyjrzeć się temu wielkiemu mechanizmowi ze strony, z której jest on naogół mało znany szerszym kołom opinji publicznej.

W prasie codziennej czytamy sążniste artykuły o wielkich genewskich poczynaniach, o coraz to nowych projektach, lansowanych—niezawsze szczerze—przez mężów stanu, którzy mają niekiedy za inspiratorów doktrynerów i marzycieli z pod sztandaru integralnego pacyfizmu, słowem o tych wszystkich przejawach działalności instytucji genewskiej, w których skuteczność wolno wierzyć lub o niej wątpić.

Lecz mija wrzesień — miesiąc obrad areopagu genewskiego, ministrowie wracają do swych stolic, by podjąć swą dotychczasową politykę, nie wiele różniącą się naogół od dawnej, wypróbowanej gry dobrych czasów przedwojennych, rozjeżdżają się tłumnie zgromadzeni dziennikarze, Genewa pustoszeje. Życie wraca do normalnego trybu, przerywanego niekiedy odległem echem wrzawy wojennej na Dalekim Wschodzie, bądź niespodziewanym odgłosem eksplozji materjałów wybuchowych, które wytwarza się w pewnych krajach dla różnych celów, ale skromnie i w ukryciu, by nie psuć atmosfery, potrzebnej do realizacji postulatów rozbrojenia powszechnego.

Myliłby się wszakże, ktoby sądził, iż Liga po okresie jesiennego ożywienia popada w zimowe uśpienie. Niezależnie od sesyj *„Assemblée“* i posiedzeń *„Conseil“* oraz różnych komisyj, podkomisyj, komitetów ekspertów i t. d., funkcjonuje stale i konsekwentnie Sekretarjat genewski. Zacytowany wyżej *„Who's Who“* w następujący sposób określa jego funkcje: „Sekretarjat przygotowuje i przechowuje wszelkie dokumenty Ligi. Załatwia prace niezbędne do sesyj Rady i Zgromadzenia. Dostarcza wszystkie dokumenty i raporty Ligi jej członkom. Ale Sekretarjat jest czemś więcej, niż ważnym mechanizmem *(is more than an important piece of machinery)*; przygotowuje on stale dane i przedstawia zalecenia odnośnie do bieżących zagadnień międzynarodowych“ (podkreślenie nasze).

Widzimy więc, że Sekretarjat jest niezaprzeczenie jednym z najważniejszych, jeśli nie najważniejszym organem Ligi. Stałe ciało, liczące około 500 urzędników, reprezentujących obecnie przeszło 40 narodowości, zaś angażowanych przez Sekretarza Generalnego za aprobatą Rady [1]), Sekretarjat jest według określenia członka Sekcji informacyjnej, p. Krabbe — „jedną z najbardziej interesujących instytucyj i najbardziej oryginalnych tworów nowoczesnej historji politycznej“.

Było zamierzeniem twórców Ligi, aby Sekretarjat stał się zawiązkiem biurokracji międzynarodowej, która zdala od animozyj i wzajemnych uprzedzeń stron zainteresowanych, byłaby zdolna rozstrzygać „objektywnie“ aktualne zagadnienia światowe, li tylko „z punktu widzenia pokoju powszechnego“. „Członkowie Sekretarjatu“—powiedział Lord Balfour — „raz zaangażowani, przestają być sługami kraju, którego są obywatelami, a stają się na czas swego zaangażowania sługami Ligi Narodów. Obowiązki ich nie są narodowe, ale międzynarodowe“.

Ale jakże jest w praktyce? Czy członkowie Sekretarjatu przejęli się naprawdę słowami Balfour'a? Czy uważają się istotnie za kapłanów, strzegących wiecznego znicza w murach genewskiej świątyni pokoju?

Można mieć co do tego poważne wątpliwości. Zapewne zdarzają się jednostki. Bardzo pouczające jest pod tym względem przeczytanie książki Jana de Granvillers p. t. *„La Belle Endormeuse“*, bo choć to tylko powieść, ale z jakąż prawdą i realizmem odtwarza ona postać poczciwego wprawdzie, ale naiwnego Francuza, który ulega czarowi pięknej uwodzicielki, symbolizującej w tym wypadku całą tę t. zw. „atmosferę genewską“ i otrząsa się z jej wpływu dopiero wtedy, gdy dostrzega prawdziwe oblicze panny von Gliedermann, ukrywającej swą narodowość i zamiary pod maską angielskiej pacyfistki.

Istotnie też rządy państw zachodnich widzą w Sekretarjacie Ligi niezwykle ważną placówkę, którą obsadzać należy ludźmi, dającymi wszelką gwarancję skutecznej obrony interesów państwowych. Bo, o ile w pierwszych latach egzystencji Ligi można było jeszcze mówić o koncepcji biurokracji międzynarodowej, to dziś bezwzględnie przyznać trzeba rację ubolewaniom szczerych pacyfistów, iż Sekretarjat staje się coraz bardziej „zbiorem nacjonalistycznych jaczejek“. Zaakcentowało się to zwłaszcza od chwili wejścia do Ligi Niemców, dla których interes *Reich'u* stanowi zawsze *leitmotiv* działania, czy to gdy kierują międzynarodówką socjalistyczną, czy gdy umacniają swe wpływy w Watykanie, czy też na innych pracują terenach. Nazwiska dygnitarzy niemieckich w Sekretarjacie genewskim, pp. Dufour-Feronce'a, von Schmieden'a, von Renthe-Fink'a, Beer'a i inn., dużo mówią tym, którzy się orjentują nieco w tajnikach *Auswärtiges Amt*'u.

To samo powiedzieć można o Włochach. Rząd faszystowski nie płonie bynajmniej entuzjazmem do instytucji genewskiej, a mimo to, kierując się dobrze zrozumianym interesem własnym, wysłał do niej świetnie zgraną „ekipę", na której czele stoi margrabia Paulucci Di Calboli Barone, szef gabinetu Mussoliniego w latach 1923 - 7, człowiek nieugięty i pełen konsekwencji, przed którym mają respekt najwięksi antagoniści faszyzmu — a nie brak ich w murach Sekretarjatu — gdyż czują za nim potężne poparcie jego *„Capo del Governo“*.

Brak miejsca nie pozwala nam oczywiście uwzględnić w tym pobieżnym szkicu całokształtu organizacji Sekretarjatu, jak również udziału w jego pracach przedstawicieli innych narodowości. Trudno wszakże pominąć pytanie, które z natury rzeczy ciśnie się pod pióro, ilekroć mowa o aktualnych zagadnieniach doby obecnej.

---

[1]) Nigdy wszakże wbrew opinji odnośnego Rządu.

A Polska? Jak wygląda jej reprezentacja nieoficjalna w Genewie? Czy możemy być równie pewni, jak Niemcy, Włosi lub choćby Czesi, że interesy nasze znajdują tam godnych swych przedstawicieli i obrońców?

Pisał ostatnio w „Przeglądzie Współczesnym" prof. Stanisław Wędkiewicz o jakichś „problematycznych Polakach" z Ligi Narodów. A wszak profesor Wędkiewicz zna dobrze Genewę, gdzie bawił dwukrotnie, zapraszany do współpracy przez Sekretarjat Ligi.

Rozprószmy tedy wątpliwości, sięgając do almanachów i poszukajmy tam nazwisk polskich Drummondów, Paulуccich, Beerów, von Schmiedenów, von Renthe - Finków...

Pierwszem nazwiskiem, zaopatrzonem dopiskiem „*Polish*" jest dr. Rajchman, dyrektor Sekcji Hygjeny, osobistość wielce podobno w Lidze wpływowa, co — jak wtajemniczeni twierdzą — nie tylko zawdzięcza zawodowym sukcesom, odnoszonym na polu szerzenia hygjeny w krajach Dalekiego Wschodu, ale również wysokiemu stanowisku we Wschodzie ...Wielkim. Pomaga mu w jego pracach hygjenicznych, między innymi członek sekcji, także „rodak" nasz, dr. J. Wasserberg. Z dalszych nazwisk, opatrzonych przypiskiem „*Polish*" wymienić należy: w sekcji informacyjnej — p. Neuman'a, w ekonomiczno - finansowej — p. Frumkin'a, w bibljotece Sekretarjatu pannę Ginsberg. W sekcji rozbrojeniowej pracuje pani Liba Hersch. Wśród niższych urzędników figurują pp. Gordon i Deutschman...

Mimowoli zapytujemy, czy nie omyliliśmy się przypadkiem i zamiast sięgnąć do wykazu polskiej reprezentacji w Sekretarjacie Ligi, nie zaczerpnęli danych z rozdziału *Annaire*'a p. t. „*Assoc iations etOrganisations Internationales*",zktórego dowiadujemy się, że „*Agence Permamente de l'Organisation Sioniste auprés de la Societé des Nations*", utworzona od czerwca 1925 r. w Genewie„ jest w stałych stosunkach z rozmaitemi sekcjami Sekretarjatu Ligi Narodów i Międzynarodowego Biura Pracy dla wszelkich kwestyj, dotyczących Narodowego Ośrodka Żydowskiego w Palestynie i działalności Organizacji Syjonistycznej na świecie".

Niestety jednak, stwierdzamy po uważnem czytaniu, żeśmy się nie omylili, żeśmy istotnie wybrali nazwiska polskich obywateli, członków Sekretarjatu, a nie np. przedstawicieli prasy polskiej przy Lidze Narodów, którymi są: p. Oryng z ramienia P.A.T., p. Bregman z „Epoki", p. Kahany z „Nowego Dziennika", p. Heilperin ze „Świata" i inni o podobnem brzmieniu nazwisk.

Tak wygląda nieoficjalna reprezentacja Polski w Genewie, tam gdzie formułowane są „suggestje dotyczące bieżących zagadnień międzynarodowych". Cieszyłby się nieboszczyk Lord Balfour, patrząc na tę piękną „ekipę", do której tak dobrze zastosować można jego słowa: „*Their duties are not national but international*".

Jednak my Polacy wolelibyśmy, aby było odwrotnie i pragnęli widzieć w pałacu Ligi mniej rasowych przedstawicieli z pośród naszych rodaków. Pragnęlibyśmy tego zwłaszcza w chwili obecnej, gdy wzmaga się kampanja w kierunku rewizji naszych granic zachodnich, gdy Liga zaczyna się zajmować niebezpiecznym dla nas, bo przewidującym możność rewizji traktatów artykułem XIX, gdy lansowane są daleko idące projekty regulowania stosunków gospodarczych świata, co wszystko wymaga wielkiej czujności i ostrożności z naszej strony. Pragnęlibyśmy, aby w tej „*guerre des cerveaux*" — by zapożyczyć określenie z tytułu interesującej książki Lucieto — w obronie polskich tez oraz interesów występowali na terenie Sekretarjatu Ligi przy formułowaniu „suggestyj i zaleceń" ludzie, którzyby byli Polakami nie tylko z paszportu.

P.

IMPERJALIZM AMERYKAŃSKI

(Ciąg dalszy)

V

NIEMNIEJ ważnym terenem ekspansji amerykańskiej jest t. zw. „Strefa Karaibska", czyli inaczej „Sfera amerykańskiego morza Śródziemnego". Składają się na nią małe państwa Ameryki centralnej, oraz Małe i Duże Antyle.

Sfera karaibska przeżywa obecnie okres ekonomicznego odrodzenia. Ma ona dzisiaj decydujące znaczenie dla Stanów Zj. jako: 1) źródło produktów kolonjalnych, 2) jako rynek zbytu dla produkcji przemysłu amerykańskiego, 3) jako podstawa kardynalna dla podboju ekonomicznego rozległego *hinterland*'u Ameryki Łac. Na życzenie prezydenta Monroego Stany uczyniły z amerykańskiego morza Śródziemnego „jezioro Wuja Sama". W 30 lat zaledwie zdołały one opanować system dostępów do morza Antylskiego i zatoki Meksykańskiej, oraz opanować te morza ekonomicznie, politycznie, finansowo i strategicznie. Ambicje ich zwrócone są obecnie w kierunku zawładnięcia nowemi bazami nawalnemi, któreby wraz z już opanowanemi punktami strategicznemi utworzyły rozległy system fortyfikacyj, stacyj węglowych i naftowych.

Stany górują cywilizacyjnie w Ameryce i jako potęga światowa poczuwają się do misji opatrznościowej niesienia narodom niższym od siebie pochodni kultury. Zwracają one oddawna baczną uwagę na drogi morskie, prowadzące do kanału Panamskiego, mianowicie na pięć republik, zgrupowanych na przesmyku Panamskim: Guatemala, Honduras, Salwador, Nikaragua i Costa Rica. Ameryka centralna rozdzielona w ten sposób granicami politycznemi, nie może stawiać zorganizowanego oporu, to też Stany wyzyskują tutaj swoją przewagę.

Ameryka Środkowa jest areną intryg i korrupcyj ze strony potężnych syndykatów amerykańskich. Stany Zj. starają się pozatem zawładnąć tutaj siecią kolejową. W ten sposób linja Port Limou—San Jose w Costa Rica weszła w posiadanie amerykańskie, podobnie Nikaragua odstąpiła Stanom 50% swych akcyj kolejowych.

Najjaskrawiej jednak uwidoczniły się wpływy polityki Stanów w republice Nicaragua. Stanom

chodziło przedewszystkiem o zapewnienie sobie wyłącznego prawa budowy projektowanego nowego kanału międzyoceanicznego, któryby przechodził przez przesmyk Nikaraguański. Pierwsza interwencja amerykańska w Nikaragua datuje z roku 1909. Po całym szeregu rewolucyj wewnętrznych, wobec których rząd waszyngtoński zachowywał życzliwą bierność, udało się Stanom tak mocno ująć ster wydarzeń politycznych wycieńczonej zaburzeniami republiki, że w roku 1911 została podpisana umowa między amerykańskim sekretarzem stanu Knoxem a prezydentem Diazem, na podstawie której: 1) Nikaragua zaciągnęła u Stanów pożyczkę w sumie $ 15.000.000 (zwrot tej pożyczki zagwarantowany był dochodami celnemi). 2) Kontrolą tych dochodów zajmować się mieli co pewien czas urzędnicy amerykańscy. 3) Bankierzy amerykańscy otrzymali koncesje na wszystkich kolejach państwowych Rzeczypospolitej. W r. 1915 podpisano traktat, zwany „traktatem Bryan-Chomorro", na podstawie którego: 1) Stany pożyczyły Rzplitej Nikaragua $ 3 000.000, pod warunkiem, że suma ta będzie zużyta według wskazówek amerykańskich. 2) Nikaragua przyznała Stanom wyłączne prawo budowy kanału międzyoceanicznego, aby uprzedzić ewentualną konkurencję kanałowi Panamskiemu przez jakiekolwiek mocarstwo ościenne. 3) Nikaragua oddała w dzierżawę Stanom na przeciąg 99 lat wyspy Corn i udzieliła pozwolenia Stanom na budowę bazy nawalnej w zatoce Fonseka.

Aby zapewnić sobie dotrzymanie powyższej umowy, Stany podczas szeregu przesileń rządowych w Nikaragua stale udzielały poparcia swym zdeklarowanym zwolennikom, z pośród których Chomorro i Adolfo Diaz kolejno uzyskali godność prezydencką między latami 1922 i 1925. Pod presją Ameryki również powołano mieszaną komisję w celu sprawdzania wydatków Rzeczypospolitej. Bankierzy amerykańscy, a więc *„Brown Broth."*, i firma „Seligman" roztoczyli kontrolę nad finansami i siecią kolejową, marynarze zaś amerykańscy „czuwali" gorliwie, likwidując wszelką reakcję przeciwko istniejącemu stanowi rzeczy. Stany Zjednoczone zgromadziły w tym celu przeszło 15 statków wojennych na wodach Nikaraguańskich, poleciły zaś zapewnienie porządku wewnętrznego 2000 marynarzy, którzy pozostali w Managua od r. 1912 do r. 1925.

W Honduras Amerykanie nie zmarnowali również sposobności; korzystając z zamieszek wewnętrznych amerykańscy marynarze wylądowali na terenie tej republiki w roku 1924, i od tej chwili w niej pozostali, zaprowadzając wypróbowany system protektoratu i kontroli finansowej, który Stany starają się powoli nałożyć na wszystkie republiki łacińskie.

Imperjalizm amerykański nie omieszkał również dać się we znaki republikom Costa Rica i Salwador.

VI

Są to jednak fakty drugorzędnego znaczenia w porównaniu z przedsięwzięciem Stanów w Ameryce Środkowej: kanałem Panamskim. Aby sprawę tę przedstawić w należytem świetle, należy przypomnieć zatarg między Stanami a Kolumbją. Bogactwo tego kraju oddawna interesowało Amerykę, która starała się wszelkiemi siłami opanować rynek kolumbijski. Stosunki między dwoma państwami były do r. 1921 mocno naprężone. Powodem bezpośrednim konfliktu stała się Panama, która odpadła w 1903 roku od Kolumbji przy moralnem i wojskowem poparciu Stanów. Czynnikiem, który wpłynął na zmianę stanowiska Ameryki w stosunku do Kolumbji, była rywalizacja amerykańsko-angielska o kolumbijskie koncesje naftowe. Rząd waszyngtoński podpisał w r. 1921 umowę z Kolumbją, na której podstawie Kolumbja udzieliła koncesji *„Topical Oil of Pittsbourgh"* — filji potężnej *„Standard Oil"*, wzamian za co: 1) Stany przyznały Kolumbji odszkodowanie za sprawę panamską, wynoszące 25.000.000 $, 2) Wall-Street podpisała w roku 1922 pożyczkę $ 5.000.000, wydaną przez Rząd kolumbijski.

Po niepowodzeniach, które zniweczyły plany Tow. francuskiego, budującego kanał panamski w 1903 roku, Stany oświadczyły swoją gotowość wzięcia na siebie zadania kontynuowania robót rozpoczętych przez przedsiębiorstwo francuskie, któremu Ameryka zaproponowała sumę $ 40.000.000 odstępnego. Stany rozpoczęły rokowania jednocześnie z Kolumbją, do której należał teren eksploatowany i z kompanją francuską z którą doszły prędko do porozumienia. Sprawa jednak miała się nieco inaczej, co się tyczy Kolumbji: 22 stycznia 1903 r. Sekretarz stanu Hay i Thomas Herran *chargé d'affaires* Kolumbji w Waszyngtonie podpisali traktat, mocą którego Stany otrzymały wszystkie prerogatywy konieczne do ukończenia kanału. Wzamian za to Kolumbja miała otrzymać gotówką $ 10.000.000 oraz rentę $ 250.000 rocznie, począwszy od roku 1923, przez pewien szereg lat. Zatwierdzony przez Kongres amerykański, traktat ten nie został ratyfikowany w Bogocie. Stany utrzymywały, że Rząd kolumbijski chciał się targować, pragnąc uzyskać lepszą cenę. W Bogocie jednak wysunięto argumenty zasadnicze, natury prawnej, a mianowicie paragraf konstytucji, zabraniający państwu jakichkolwiek ustępstw terytorjalnych. Wtedy 3 listopada 1903 r. wybucha rewolucja w Panamie, 4 tegoż miesiąca ma miejsce proklamacja republiki, która 6 zyskuje oficjalne uznanie rządu Stanów.

Przez kogo została wywołana rewolucja panamska, gdyż pewnem jest, że Panamczycy byli w tej sprawie zwykłymi aktorami? Odpowiedzieć trudno, zważywszy zagmatwane interesa 4 czynników: 1) Kolumbja — za żadną cenę nie chce być pozbawiona przesmyku panamskiego, i korzyści, które wynikają z jego posiadania, — 2) Panamczycy — dla których „secesja" przedstawia oczywiste korzyści, — 3) Francuzi, pragnący pozbyć się koniecznie afery, która im się nie opłaca. O ileby rząd Stanów Zjednocz. nie zdobył pewnej pozycji na przesmyku Panamskim, — zbudowałby wówczas kanał na terenie Nikaraguy, a wówczas materjały i prawa kompanji francuskiej straciłyby na wartości do tego stopnia, że nie osiągnęłaby ona przy likwidacji nawet nieznacznej stosunkowo sumy $ 40.000.000, którą jej proponowały Stany, 4) Dla Amerykanów wreszcie kanał był poprostu koniecznością i musiał być zbudowany, bez względu na istniejące przeszkody. Rewolucja więc panamska została sfinansowana przez amerykańskie Tow. Kolei Panamskiej, przez Tow. Francuskie budowy kanału i... jakoby... przez rząd waszyngtoński, będący w mocno naprężonych stosunkach z Kolumbją.

Po oficjalnem uznaniu republiki Panamskiej rozpoczęły się rokowania między rządem panamskim, a rządem Stanów Zj., których rezultatem był

traktat podpisany w Waszyngtonie 18 listopada, 1903. Traktat ten potwierdza większą część postulatów zawartych w traktacie Hay-Herran: przewiduje on wypłatę rzeczypospolitej Panamskiej przez Stany Zj. sumy $ 10.000.000 oraz rocznej renty $ 250.000 począwszy od roku 1913. Wzamian za to republika Panamska odstępuje na wieczne czasy Stanom Zj. pas terytorjum wzdłuż osi kanału, który pozostanie „w ich użyciu, okupacji i kontroli“, wraz ze wszystkiemi prawami, któreby do nich należały, w razie gdyby Stany były absolutnym panem tego terytorjum.

Przez traktat między Panamą a Stanami podpisany w roku 1926, Ameryka jeszcze bardziej uzależniła od siebie Panamę i zapewniła sobie jeszcze więcej swobody i bezpieczeństwa w strefie kanału.

Obrona Kanału Panamskiego stanowi zasadniczy pierwiastek potęgi Stanów Zj., które w tej dziedzinie nie zaniedbały niczego. 1) Osiągnęły one duże wpływy tak na morzu Antylskiem, jak i w Meksyku i innych państwach Ameryki Środkowej. 2) Przedsięwzięły budowę fortyfikacyj nie do zdobycia oraz innych wojskowych ubezpieczeń w bezpośredniem sąsiedztwie kanału, jak oto: koncentracja wojsk w Balboa i Ankonie, liczne lotniska, stacja dla łodzi podwodnych w Kolon, instalacja bateryj lądowych, broniących wejścia do kanału i należących do najpotężniejszych na świecie, fortyfikacje na wyspach Naos, rozbudowanie wewnętrznego jeziora naturalnego Gatum w ten sposób, aby z niego utworzyć potężną bazę - schron dla całej floty wojennej Stanów. Znaczenia tej bazy dowiodły niejednokrotnie manewry marynarki amerykańskiej na morzu Karaibskiem. Nie wystarczało to jednak przewidującej polityce wuja Sama, który zwrócił również baczną uwagę na dalsze punkty strategiczne, których opanowanie mogłoby się skutecznie przyczynić do obrony Kanału Pan. W tym celu Stany Zj. opracowują i zastosowują konsekwentną politykę baz nawalnych.

Przejdźmy teraz do ostatniej pozycji w sferze Karaibskiej, t. j. do Kuby. Znaczenie Kuby, największej wyspy na morzu Antylskiem porównać można do znaczenia, jakie ma Malta na morzu Śródziemnem. Rzeczywiście Kubę dzielą niewielkie stosunkowo odległości od Florydy, jak i od Jukatanu, co umożliwia jej kontrolowanie nawigacji w zatoce Meksykańskiej i Morzu Karaibskiem. Stany Zj. wcześnie już oceniły wyjątkowe położenie geograficzne Kuby i oddawna czyniły wysiłki w celu zawładnięcia tą wyspą. W roku 1848 prezydent Polk ofiarował Hiszpanji sumę $ 100.000.000 wzamian za odstąpienie Kuby, — lecz daremnie.

Po długiem oczekiwaniu nadarzyła się sposobność wkroczenia w wewnętrzne stosunki Kuby. Stany Zj. uchwyciły ją w lot, korzystając z brutalnej likwidacji rewolucji 1898 roku przez wojska hiszpańskie, jak również wybuchu amerykańskiego pancernika „Maine“, aby wypowiedzieć wojnę Hiszpanji. Po ukończonej wojnie, zwycięskie Stany Zj. zawarły z Hiszpanją pokój, na którego podstawie: 1) Kuba stała się niepodległą, pod pewnemi zastrzeżeniami, republiką, 2) Stany Zj. okupowały Kubę na przeciąg 3 lat, t. j. do roku 1902. Opinja europejska, wrogo usposobiona do imperjalizmu amerykańskiego, uniemożliwia Stanom Zj. aneksję Kuby. Zorjentowawszy się w sytuacji, parlament amerykański zdobył się na „szlachetny gest“ i oświadczył, że zasadniczym celem wojny hiszpańskiej było oswobodzenie, a nie zdobycie Kuby.

Jak mało jednak twierdzenie owo jest uzasadnione, zrozumiemy łatwo, gdy zdamy sobie sprawę, że o ile Kuba uwolniona została od panowania hiszpańskiego bez zastrzeżeń, o tyle zwolnioną została z administracji amerykańskiej z ciężkiemi zastrzeżeniami. Nie obeszło się oczywiście bez parokrotnej wojskowej okupacji amerykańskiej w roku 1906 i 1912 wskutek anty - amerykańskich zaburzeń na Kubie. Stanowi to najlepszy dowód, że wolno jest Kubie rządzić się samej o tyle, o ile rządy te przychylne są wpływom amerykańskim na tej wyspie.

VII

Ostatnim etapem imperjalizmu amerykańskiego w Ameryce Łacińskiej jest Ameryka Południowa. Zdobycie rynku południowo - amerykańskiego nie przyszło Stanom Zj. z łatwością, napotkały one bowiem konkurencję Europy, której wpływy w Południowej Ameryce oparte były na następujących podstawach: 1) Europa przez długi okres czasu była bankierem Ameryki Południowej oraz pośrednikiem między nią a Stanami Zj , 2) wzamian za swe usługi banki europejskie wymagały od swych południowo - amerykańskich klijentów, że materjały, mające być zakupione za pożyczone pieniądze, oraz personel techniczny będą sprowadzone z kraju, który dostarczył kapitałów, 3) komunikacja między najważniejszemi krajami Ameryki Południowej, a więc Argentyną, Urugwajem i Brazylją południową — a Europą jest równie łatwa jak ze Stanami Zj.

Stosunki handlowe, istniejące oddawna między Ameryką Południową a Europą, nie zostały jeszcze wstrząśnięte przez Stany Zj , które, nie posiadając ani doświadczenia, ani tradycji, ani metody, ani stosunków osobistych nie zdołały dotychczas nadwyrężyć w Ameryce Poł. handlowej przewagi starej Europy. Dla tych przyczyn zdobycie rynku południowo - amerykańskiego było dla Stanów Zj. zadaniem ciężkiem, które Stany zaledwie rozpoczęły przed wojną, a które zdołały ugruntować dopiero po wojnie. Napływ złota do Stanów Zj. był powodem wielkiego eksportu kapitałów w kierunku Ameryki Południowej, która cierpiała na brak gotówki z powodu paraliżującego wpływu, jaki wywarła wojna na akcję bankierów europejskich na rynkach południowo - amerykańskich. Ową ekspansję na południe, ułatwioną im przez okoliczności, uważają Stany za pewnego rodzaju krucjatę narodową, wprowadzając w czyn dla jej poparcia metody prawdziwie „amerykańskie“..

Stany Zj. realizują swą ekspansję w Ameryce Południowej przez pomoc finansową: banki amerykańskie chętnie udzielają pożyczek państwom i przedsiębiorstwom południowo - amerykańskim, co jest znacznie ułatwione dzięki istnieniu w Ameryce Południowej licznych filij banków, — oraz przez przedsiębiorstwa ekonomiczne, a więc: 1) eksploatację bogactw mineralnych (miedź i nitraty czilijskie, nikiel boliwijski, nafta peruwiańska, żelazo brazylijskie, miedź i nafta argentyńska). 2) propagandę metod intensywnej uprawy roślin tropikalnych, 3) poparcie finansowe i techniczne, na które liczyć może każde przedsiębiorstwo południowo-amerykańskie w Stanach Zj., a więc np. wielki przemysł mięsny brazylijski subsydjowany przez potężne firmy mięsne amerykańskie, albo kolejnictwo, w którem budowę najważniejszych linij

jak np. Santiago, Valparaiso, lub Brazylja — Peru przedsięwzięto dzięki kapitałom amerykańskim.

Potęga Stanów Zj. nie zawsze jednak spotyka się w Ameryce Południowej z zupełną uległością. Istniejące naprężenie stosunków ma za przyczynę przytłaczający ogrom Stanów w porównaniu ze słabością republik łacińskich, które słusznie obawiają się zalewu przez amerykański imperjalizm.

Na gruncie protestów przeciwko hegemonji Stanów powstała nowa koncepcja, znana pod nazwą Amerykanizmu Łacińskiego. Jest to idea zgrupowania 22 republik amerykańskich, połączonych węzłami rasy, języka i kultury, — czyli bez Stanów Zjednoczonych.

O ile Amerykanizm Łaciński się rozwinie, będzie on groźnym rywalem Panamerykanizmu; — postulaty bowiem Amerykanizmu Łacińskiego są następujące: 1) Absolutny rozdział między republikami łacińskiemi a Stanami Zjednoczonemi, 2) utworzenie aljansów między państwami łacińskiemi, 3) Rozwijanie stosunków intelektualnych między Ameryką Łacińską a Hiszpanją, Portugalją, Francją i Włochami.

(Dok. n.) BOHDAN ZANIEWSKI

POLSKIE FLIRTY GOETHEGO

PRAWDOPODOBNIE już niejednokrotnie przytoczono u nas w literackich studjach wiersze, które Goethe skomponował ku czci Polek, ale przyznam się, że nigdy się nawet z wzmianką o nich nie spotkałem, dlatego przypuszczam, że i dla niejednego czytelnika będą one nowością.

Trzy wierszyki poświęcił Goethe Polkom: znajdują się one wszystkie w rozdziale jego pism p. t. *„Inschriften, Druck und Sendeblätter"*. Pierwszy z nich opatrzony nr. 24 ma tytuł: *„An Gräfin Jaraczewska"*. Prawdopodobnie była to Elżbieta z Krasińskich Adamowa Jaraczewska poczytna niegdyś powieściopisarka, ur. w 1792 roku. Ta gałąź rodu Jaraczewskich tytułu nie miała. Hrabią pruskim został natomiast w 1810 roku Ignacy Jaraczewski, szambelan Stanisława Augusta, zmarły bezpotomnie, lecz jak zwykle w takich razach u nas, tytuł adoptowali wszyscy, noszący to samo nazwisko.

Wierszyk pisał Goethe w Karlsbadzie 5-go września 1818 r. t. j. w roku, w którym Elż. Krasińska wyszła za Jaraczewskiego. Oto jego brzmienie:

Da sieht man wie die Menschen sind
Nur Leidenschaft und kein Gewissen!
Wie haben sie dem schönen Kind
Das Röcklein halb vom Leib gerissen!
Doch mich begegnete das Glück inspäter Zeit,
Ein frommer Jüngling wird mich neiden:—
Dir Freundin dank ich die Gelegenheit
Den holden Schatz von Kopf bis Fuss zu kleiden.

(Patrzcie jacy są ludzie: namiętnościom oddani, lecz brak im sumienia! Jakżeż mogli ładnemu dziecku zedrzeć na poły z ciała sukienkę! wszelako spotkało mnie to szczęście! bogobojny młodzieniec będzie mi zazdrościł — że dzięki Tobie, przyjaciółko, miałem sposobność, miłą dziecinę ubrać od stóp do głowy).

Niepodobna domyśleć się, o co chodzi. Na szczęście systematyczny poeta zaopatrzył wierszyk w następujący komentarz:

„Pewna polska dama, znająca doskonale niemiecką literaturę, unosiła się wraz ze mną nad „Undyną" Fouqué'go [1]) i ubolewała, że francuskie tłumaczenie, nie stoi na wysokości oryginału. Obiecała mi, że przyniesie, abym się o tem przekonał. Skoro otrzymałem tę książkę, zauważyłem, iż jest w takim stanie, że gdyby się o tem autor dowiedział, bardzoby się ucieszył: wierzchniej okładki całkiem brakowało, a pierwszych kartek, które były zwinięte w trąbkę i pogniecione, czytać było niepodobna. Zaniosłem więc książkę do introligatora, który przyprowadził wszystko do porządku i zwróciłem ją potem właścicielce wraz z tą dedykacją". Objaśnienie Goethego świadczy niezbyt pochlebnie o zamiłowaniu do porządku „polskiej damy".

Następny wierszyk, bez daty i miejsca, do panny Kazimiery Wołowskiej (w oryginale *„An Fräulein Casimira Wołowska"*), brzmi jak następuje:

Dein Testament vertheilt die holden Gaben
Womit Natur dich mütterlich vollendet.
Vermächtniss nach Vermächtniss ausgespendet.
Zufrieden jeder seinen Theil zu haben
Doch wenn du Glückliche zu machen erachtest
So wär er der, dem du Dich ganz vermachtest.

(Twój testament rozdziela rozkoszne dary, któremi natura wyposażyła Cię po macierzyńsku. Zadowolony każdy ze swojej cząstki, lecz jeżeli pragniesz uczynić szczęśliwych, to ten nim dopiero będzie, któregobyś zrobiła spadkobiercą swojej osoby).

Wierszyk ten okolicznościowy dla niewtajemniczego jest także zagadką. Na szczęście posiadany komentarz Goethego: „Panna Wołowska, siostra pani Szymanowskiej, dręczona cierpieniami może urojonemi, czasami nastrojona na smutną nutę i mówiąca o śmierci. Pewien dowcipny przyjaciel, wpisał jej do imionnika jej rzekomy testament, w którym zapisywała swoje bardzo sympatyczne przymioty różnym osobom. Żart można było uważać za bardzo zgrabny, gdyż legaty odnosiły się bądź do zalet bądź do wad legatarjuszy i ja napisałem ten wiersz bezpośrednio potem t. j. po przeczytaniu i w tem przekonaniu". Widać z tego objaśnienia, że coś musiało potem zajść, jakieś nieporozumienie, skoro Goethe się tłumaczy, że żart można było uważać za udany.

Kazimiera Wołowska, siostra Marji Szymanowskiej, matki Celiny, żony Adama Mickiewicza, była osobą niepospolitej urody, jak świadczy, oprócz panegiryku Goethego, reprodukcja jej miniatury, zamieszczona w drugim tomie pamiętników Stanisława Morawskiego p. t. „W Peterburku". Wyszła za swojego kuzyna Wołowskiego, ale kochała się w Stan. Morawskim, o czem dowiadajemy się z listu, którego niedyskretny pamiętnikarz nie zniszczył, mimo że go o to w tym liście na wszystko zaklina.

Strofy, które poświęcił wielki poeta Marji Szymanowskiej, to już nie okolicznościowe wierszyki, lecz prawdziwie piękny poemat.

W nagłówku *„An Madame Marie Szymanowska* — bez daty.

Die Leidenschaft bringt Leiden! Wer beschwichtigt
Beklommenes Herz dich, das zu viel verloren?
Wo sind die Stunden überschnell verflüchtigt?
Vergebens war das Schönste dir erkoren
Trüb ist der Geist, verworren das Beginnen
Die hehre Welt wie schwindet sie den Sinnen!
Da schwebt hervor Musik mit Engelschwinger.

---

[1]) Fr. baron de la Motte Fouqué (1777—1843) b. płodny i b. poczytny ongiś niemiecki autor. Dziś niemal zapomniany. „Undine", opowiadanie prozą, uchodzi za jego arcydzieło Tłum. na polski p. t. „Ondyna". „Undine" posłużyła za libretto do opery, zdaje mi się Hoffmanna.

Verflicht zu Millionen Ton um Töne
Des Menschen wesen durch und durch zudringen.
Zu überfüllen ihn mit ew'ger Schöne.
Das Auge netzt sich, fühlt im höheren Lehnen
Den Götter-Werth der Töne wie der Thränen.
Und so das Hertz erleichtert merkt behende
Das es noch liebt und schlägt und möchte schlagen,
Zum reinsten Dank der überreichen spende
Sich selbst erwidernd willig darzutragen.
Da fühlte sich—o das es ewig bliebe!
Das Doppel—Glück der Töne und der Liebe.

(Uczucie rodzi cierpienia! Któż ukoi udręczone serce, któreś zbyt wiele straciło? Gdzież są chwile, które tak zawrotnie szybko pierzchły? Napróżno to, co najpiękniejsze, dla ciebie wybrano. Mętny jest duch, pogmatwane wszelkie poczynanie. Uroczy świat jakżeż chyżo znika przed zmysłami!

Wtem unosi się muzyka na anielskich skrzydłach, spleciona w miljony tonów, pragnie ludzkie jestestwo na wskroś przeniknąć i przepełnia je wieczystem pięknem.

Oko się wilży, a serce czuje w wyższych utęsknieniach, od bogów pochodzącą, wartość tonów i łez.

I oto serce czuje z ulgą radośnie, że jeszcze żyje i bije i bić by chciało ku podzięce za przehojne dary, siebie wzamian ofiarując ochoczo.

I wtedy czuło się — oby tak mogło na wieki pozostać, podwójną rozkosz tonów i miłości).

„Ten poemat — objaśnia nas Goethe w przypiskach — wyrażający cierpienia tęsknej miłości, znajduje się już w poprzednim tomie, na należnem mu serdecznem miejscu [2]) Tutaj (t.j. w rozdziale z dedykacjami) nie wolno go było pominąć, ponieważ powstał pod wrażeniem podniosłej sztuki pani Szymanowskiej, znakomitej pianistki w pamiętnych czasach i krytycznej chwili, jako też jej został wręczony".

O uczuciach Goethego dla Marji Szymanowskiej tak pisze Stan. Morawski w swoich pamiętnikach (Poznań 1927): „Goethe, stary Goethe, pomimo wiadomej dumy, zarozumiałości, oziębłości i suchości, z jakiemi w ostatnim okresie długiego żywota swojego cudzoziemców przyjmował, pomimo całej swojej poezji dla tej właśnie poezji, oczarowany był Szymanowską i tak sobie nią głowę zawrócił, że wszędzie, czy u wód, czy w Wejmarze, gdzie się tylko z sobą spotkali, już nieodstępnym był jej towarzyszem. Ten rodzaj przyjaźni i uwielbienia trwał w nim stale, bo nawet w dobre lat kilka potem, kiedy już Petersburg był Szymanowskiej ciągłem mieszkaniem, [3]) Goethe w częstej był z nią korespondencji".

Następnie St. M. przytacza francuski list Goethego do M. Sz. „przy poświęconych jej wierszach". Prawdopodobnie mowa o wierszu, którego tekst podaliśmy wyżej, List ten pisany jest z Marienbadu dn. 19-go sierpnia 1823 r. Z treści jego można wnioskować, że Marja Szymanowska mieszkała wówczas jeszcze zagranicą i że miała niebawem przyjechać do Wejmaru. Zapewne z tego samego okresu pochodzi wierszyk do Kazimiery Wołowskiej.

FELIKS CHWALIBÓG

[2]) Pod tyt. „*Aussöhnung*" (Pojednanie) w rozdziale: „*Trilogie der Leidenschaft*".

[3]) Marja Szymanowska zmarła w Petersburgu na cholerę w 1861 r.

POEMAT MUSSOLINIEGO O CHLEBIE

W DNIU 8.XII w teatrze Argentina w Rzymie odbyło się w obecności Mussoliniego i wszystkich członków rządu z ministrem rolnictwa na czele uroczyste wręczenie nagród w *bataglia del grano,* za lata 1927/8 i 1928/9. Do wielkiego narodowego konkursu stanęło 6.000 rolników za rok obecny i 10.000 za ubiegły. Nagrodzeni zostali ci, co wykazali się największą produkcją z hektara.

Liczba nagrodzonych wyniosła razem 37 osób. Za rok bieżący otrzymało nagrody 5-ciu wielkich właścicieli (po 20.000 lirów), 9-ciu średnich (po 10.000 lirów) i 10-ciu drobnych (po 10.000 lirów). Za rok ubiegły nagrody wynosiły od 100.000 do 15.000 dla wielkich właścicieli (4 nagrody), od 80.000 do 10.000 dla średnich (4 nagrody) i od 50.000 do 10.000 dla drobnych (5 nagród).

Rezultat kampanji przedstawiają porównawcze cyfry ogólnej produkcji na 4.776.400 hektarach uprawnej ziemi, jaką posiada Italja. Gdy w latach 1909 — 1914 wyprodukowywano średnio 49.270.000 kwintali, w roku ostatnim produkcja doszła do 70.943.700 kwintali, przyczem wzrost roczny produkcji między samym tylko rokiem 1927 i 1928 wyniósł 8.923.800 kw., a między 1928 i 1929 dalsze 8.728.900 kw.

Otrzymane rezultaty nazywa prasa włoska cudem woli, który spełnia się na oczach wszystkich, podnosząc, że dokonano go włoskiemi narzędziami i włoską techniką, w której ulepszenie włożono w ostatnich czasach wiele sił. Nieosiągalny, jak się zdawało, cel, samowystarczalność, stał się dziś rzeczą najzupełniej realną, a urzeczywistnienie go kwestją czasu.

Tak wygląda, pisany czynami, poemat Mussoliniego o chlebie dla rodzinnej ziemi.

Dzień 14 kwietnia, który jest we Włoszech obchodzonem od paru lat, dorocznem „świętem chleba", przyniósł odezwę Mussoliniego, będącą poematem o chlebie, wyrażonym tym razem w słowach. Odezwą nazwać ją należy w braku innego, właściwszego określenia. Jest ona jednym z tych drobnych środków, któremi nie pogardza Mussolini, aby wychowywać zapomocą nich społeczeństwo, a dopiero w związku z całą działalnością Mussoliniego w tym zakresie nabiera właściwego wyrazu.

Drukowaną była na ozdobnych kartkach brystolu i sprzedawaną w dn. 14 — 15 kwietnia publiczności na ulicach, dochód zaś przeznaczony był na inne z dzieł Mussoliniego „*Pro Oriente*". Jest krótką, jak rozkaz, i ma w sobie rytm rozkazu:

„WŁOSI,
KOCHAJCIE CHLEB,
który jest sercem domu,
wonią, unoszącą się nad rodzinnym stołem,
radością domowego ogniska;
SZANUJCIE CHLEB,
który jest potem na czole pracownika,
dumą jego pracy,
poezją jego poświęcenia;
CZCIJCIE CHLEB,
który jest chwałą pól,
wonnością ziemi,
świętością życia;
NIE MARNUJCIE CHLEBA,
który jest bogactwem ojczyzny,
najsłodszym darem Boga,
najświętszą nagrodą ludzkiego trudu".

Przełożyła M. STECKA MUSSOLINI

NA WIDOWNI

Nasza karta dziejów. — Pomieszanie języków — Głos krwi. — Jak wyrasta Polak. — Pamiętnik robotnika Wojciechowskiego.

DLA człowieka, umiejącego myśleć kategorjami historycznemi, dzień bieżący stanowi ostatnią kartę dziejów, którą się właśnie odczytuje i — dopisuje. Są w pamięci dawne karty, więc człowiek zestawia i nieraz dużego wysiłku wyobraźni użyć musi, żeby sobie uprzytomnić, że to już wiek 20-y. Po czemże poznawać rozwój życia narodowego, jak nie po szczytach wyniosłości społecznych? A jednak ta miara może w błąd wprowadzać.

Mam teraz w oczach widowisko uliczne, niby piękną głoskę inicjałową nowego rozdziału historycznego: stolica kraju, gmach wzniesiony sztuce „Filharmonja", policja konna i piesza, a to pogotowie podnieca zainteresowanie wyczekiwaniem wielkich wypadków... Co się dzieje? Pan Świtalski przemawia do „narodu". Radjo roznosi jego słowa po świecie... Któż to jest p. Świtalski? Premjer, któremu przedstawiciele narodu odmówili zaufania. Jest teraz w dymisji, ale wykłóca się. Opowiada, że jest mężem opatrznościowym, że wszyscy jego poprzednicy nie dorastali miary, że Sejm — to monstrum polityczne, że uchwały jego przez nieporozumienie tylko brane są na serjo. To samo mówił już w Sejmie. O języku politycznym tego męża stanu poseł Czetwertyński w „Kurjerze Warsz." pisał ze zgrozą:

„Co to jest? Co to za język? Czy tak powinien przemawaić rząd do przedstawicielstwa narodu? Potrzeba nam trzeźwych polityków, którzyby mówili językiem swoim do swoich, a przedewszystkiem usunęli z życia Polski to, co jest trucizną jej społecznego i politycznego życia: brak poczucia prawa" (nr. 343).

Dziwnym językiem pisana jest nasza karta dziejów. Jakże odmienny był język dawny takiego np. Jana Zamoyskiego! Tamten premjer nie zrozumiałby dowcipów p. Świtalskiego i nie śmiałby się, patrząc na jego postawę. Nic dziwnego, że Kochanowski naszych czasów, uwieńczony właśnie nagrodą ministerjum oświecenia publicznego, Ferdynand Goetel zmaltretował Zamoyskiego w swoim dramacie „Samuel Zborowski". Bo teraz mamy ideały trojańskie Penklubu, a język Zborowskich — Parysów z „Odprawy posłów greckich".

Przeto nie rozumiemy się.

Recital łabędzi p. Świtalskiego w Filharmonji — to istna symfonja, w której splata się nuta niezmiernego zadowolenia z siebie z motywem żalu pod adresem sejmowego „serca lodów": „Cudze chwalicie (Clemenceau), swego nie znacie. Sami nie wiecie, co posiadacie".

Z przedziwną wyrazistością na karcie dziejów naszego czasu zapisany jest proces prasowy, w którym najbliższy współpracownik ministra spraw wewnętrznych, komendant policji Rzpltej, płk. Jagrym-Maleszewski wyjaśnił swoje wobec prasy stanowisko. Mieliśmy możność podziwiać tak kwieciste słownictwo i sytuacje etyczne tak osobliwe ze względu na poziom społeczny akcji, jednak typowe dla naszych czasów, że proces ten będzie klasyczną ilustracją przyszłych wspomnień, które tę dobę będą odtwarzać. Chodziło o słowa, przypisywane dygnitarzowi: „bić", „łajdaki", „mam gdzieś"... Sędzia zapytywał świadków:

— Czy pan komendant nie mówił: „robić", a pan to wziął za „bić"?

A sprawozdawcy w dziennikach komentują, co znaczy w gwarze podmiejskiej „robić". Innych słów oskarżyciel się nie wypierał. W rezultacie sędzia skazał pubiicystę na 200 zł. grzywny za „nieoględność".

Wogóle przyszły czasy takiego języka i obyczaju, że z niepokojem oglądamy się za jakimś punktem orjentacyjnym: gdzie dół, gdzie góra. Z prawdziwą też ulgą bierzemy do ręki księgę współczesną, dobytą z samego dołu budowy społecznej: „Życiorys własny robotnika". Robotnik ten pochodzi z zachodniej połaci naszego terenu cywilizacyjnego, z pow. Śremskiego. „Obieżysas", proletarjusz zarobkujący fizycznie w Niemczech, w owym Magdeburgu i w okolicy. Syn nędzarza, parobka wiejskiego, analfabety; nazywa się Jakób Wojciechowski. Ojciec jego, w celu ratowania rodziny od głodu, wyemigrował za zarobkiem, ale tam się rozpił i o rodzinie zapomniał. Wtedy wyrostek Jakób poszedł go szukać, odnalazł, wyrwał ojca ze szponów lichwiarskich „kantyniarza", razem z ojcem pracował, zarobki wspólne rodzinie odsyłał, uratował rodzinę, ojca potem odesłał na rolę, którą dla niego kupił, a sam dalej pracował, wyrabiając się na dzielnego człowieka — ba — przodownika.

Niepodobna bez wzruszenia i bez dumy czytać dziejów tego rodaka, w którym, zdawałoby się, niema nic prócz mięśni, który nie umie nazwać nawet żadnego ze swych uczuć szlachetnych, który działa za głosem krwi, a jakaś siła rasy kulturalnej niesie go przebojem, w piekielnych nieraz warunkach, na wyżyny człowieczeństwa i szczytnego pojmowania obowiązku obywatelskiego.

Co to znaczy nie skażony głos krwi! Gdy gdzieindziej z wyżyn kultury książkowej ludzie spadają na łeb w gnojówkę i dopiero wtedy dobrze się czują, kiedy wszystko dokoła radośnie w gnój zamienią, taki prosty człowiek, powolny głosowi krwi, obronnie uszedłszy doktrynerom, wydobywa się na przestwór czysty wolności czynu i zadokumentować może swoje życie w książce, która ozdobą będzie literatury pamiętnikarsko-historycznej i pomnikiem życia krwi polskiej.

Skąd się wzięła ta księga? Instytut socjologiczny w Poznaniu ogłosił konkurs na autobiografję robotnika. Z plonu konkursowego wydobył Wojciechowskiego (pierwsza nagroda) i wydał, starannie odtworzywszy gryzmoły, spracowaną ręką kreślone. Jest tego stron koło 400 druku, niezwykle interesujących i przedstawiających wartość dokumentu do dziejów polskiej cywilizacji.

Wojciechowski, powołany jako rozerwista do armji niemieckiej, przebył ciężką kampanję w Belgji. Z faktów, które w pamiętniku spisuje, dobywa się zupełnie dla piszącego nieświadomie szlachetność bohaterskiego żołnierza. Literatura belgijska z pewnością zwróci uwagę na ten pamiętnik i przełoży karty krwawych dni belgijskich. Na tle zwierzęcego okrucieństwa Niemców postać robotnika polskiego, który przecież zewnętrzną kulturę Niemcom zawdzięczał, odcina się konturem, przynoszącym zaszczyt stylowi duszy polskiej. Człowiek ten zrywał nieraz więzy srogiej dyscypliny wojskowej, aby za popędem serca ratować dzieci belgijskie, duszącym się w zamknięciu jeńcom nieść ratunek przez dostarczenie powietrza lub wody. Okrwawiony ten żołdak pruski, znalazłszy się w domu francuskim wobec wdowy i dziecka, jak ojciec opie-

kuje się dzieckiem, a do kobiety zraża się towarzysko tem, że nie używa chustki do nosa. Niesprawiedliwość, łamanie prawa, krzywda ludzka, nieprzyzwoitość towarzyska działają na niego abominacyjnie.

Słowem jakieś antypody kultury, do której my przywykamy w Warszawie. Ze zniemczonego proletarjatu wyrasta samoistnie Polak, świadomy swych aspiracyj narodowych. Staje na czele stowarzyszenia polskiego. Według jakichś starych kalendarzy skleja wiadomości o Ojczyźnie i wygłasza płomienne mowy patrjotyczne. Pomimo przeszkód zgłasza swe prawa do obywatelstwa polskiego. Wszystkie zarobione fundusze oddaje bankom polskim, aby ratować skarb. Wszystko do grosza traci w tych pożyczkach. Zbliża się pamiętnik do końca. Wojciechowski tak pisze:

„Więc zem jest na końcu mojego zyciorysu. Ażeby ten pis z dziennika połno i mocno wypołnić, to też sobie i swoje zyczenia tutaj napiszę. Mojem zyczeniem jest:

I. Aby te wszystkie szkoły się o to starały, żeby każdego polskiego obywatela nadetknąć duchem narodowym polskim, aby się to nie spełniło, co sobie Niemcy zyczą, ze już w krótkim czasie dostaną to, co im jest odebrano...

I t. d. Wreszcie

III. Aby te wszystkie brudy, co są na Polski Ziemi były usuwnięte...

IV. Aby ci łapowniki, co się dają opłacić i na zdrade kraju pracują, byli surowo karani...“

Mój Boże! Jak on to prosto widzi! Takiego widzenia polskim mężom stanu życzę, mężom, z którymi dziś porozumieć się trudno, tak zawile te proste rzeczy widzą i opowiadają, pomimo słów nieraz zbyt — prostych.

DIGAMMA

GŁOSY

POD AUSPICJAMI REDAKTORA PIASECKIEGO

Książę Jenerał ziem podolskich porównywał Rzewuskich do pięknego pałacu, pełnego marmurów, bronzu i złota, ale w którym straszy. Jest coś prawdy w tem dowcipnem porównaniu. Potęga zdolności u niektórych członków tej rodziny górowała nad zdrowym rozsądkiem; miara i równowaga nie była łatwą dla tych ludzi...

Paweł Popiel

NIE jestem czytelnikiem „Dnia Polskiego“ — w przeciwieństwie do moich braci, kuzynów, stryjów, wujów, może nawet babek (mam tu na myśli jednostki szczątkowe pierwszej i drugiej odemnie wtył generacji). Jestem za to—wyznaję odważnie — czytelnikiem „Wiadomości literackich“ i zwolennikiem zasady, że wszelkie esencje czy małmazje, a nawet „szabasówki“, dobrze jest pić prosto z beczki, nie zaś rozcieńczone filtrami. To też, wczoraj wieczorem, kupiwszy sobie zawczasu, „na szabas“ niedzielny numer „Wiadomości literackich“, które — ku ubolewaniu Władysława Leopolda Jaworskiego — nigdy, ale to nigdy, nie cytują złotych myśli konserwatywnych, zdumiałem się, przeczytawszy w przeglądzie prasy obszerne streszczenie (podpisane „Jan“ — czyżby główny pomocnik „Boy“'a—Żeleńskiego z pracowni „odbronzowniczej“ ?)—artykułu, ogłoszonego w „Dniu Polskim“, który siewca „Zarazy w Grenadzie“ lub ktoś z jemu bliskich pomawia zresztą o ujawniony w wielu sprawach „daleko posunięty obskurantyzm“, ale, w tym wypadku wyjątkowym, chwali za „rozsądne uwagi“. Streściwszy zaś owe „uwagi“ pióra Tadeusza Rzewuskiego, wykrzykuje badacz chemiczny „Pana Tadeusza“ radośnie:

— Istne herezje na łamach tak bogobojnego organu, będziemy je w odpowiednich chwilach przypominali.

Kim jest p. Rzewuski, dokładnie nie wiemy; zdaje nam się wszakże, że nosi suknię duchowną, a z artykułu jego mogłoby wynikać, że i w jego pałacyku intelektualnym trafiać się mogą złote myśli, klejnoty cytatów poetyckich lub aforyzmów z bronzu, przeżartego może jednak nieco duszną atmosferą, w której żyjemy i celowemi zabiegami „Boy“'a.

Oddaję głos autorowi z „Dnia Polskiego“ (nr. 319):

„Dla postępu myślowego i życiowego nic tyle może nie jest cenne, jak jasne wypowiedzenie swych myśli — z oczywistem narażeniem się czasem wielu ludziom—albo usłyszenie od innych ich wypowiedzenia. Słowo ludzkie nietylko dane jest na to, aby zakrywać myśli, jak głosi aforyzm Talleyranda — ale przedewszystkiem na to, aby powiedzieć: „Tak—tak, nie—nie“. Pod tym względem artykuły i mowy Marszałka Piłsudskiego wielkie mają znaczenie i — niechybnie wejdą nietylko do historji, ale i do literatury polskiej. Piękno ich nietylko bowiem zasadza się na bardzo kunsztownej, delikatnie obmyślanej konstrukcji, ale na śmiałości słów w stosunku do nieśmiałości myśli publicznej. Społeczeństwo, które nigdy nie ujawnia swego głosu najwewnętrzniejszego i gdzie nie można bez narażenia swej skóry mówić, co się myśli—jest społeczeństwem nietylko chorem, ale takiem, gdzie też wszelka myśl, wszelka „inicjatywa mózgowa“, że się tak wyrażę, wszelki swobodny odruch twórczości i wszelka forma literacka nieco świeża i szczera — zamilkać muszą. Niema gorszej cenzury nad cenzurę mierności i konwenansu słowno-myślowej. Cenzurę tę obalił Marszałek Piłsudski i za to bezwględnie należy mu się wielka wdzięczność.

Nie myślę tu wchodzić w *meritum* sprawy. To mnie, dajmy na to, absolutnie nic nie obchodzi. Czytałem i czytam artykuły i mowy i cieszę się coraz bardziej. Lżej po nich oddychać i myśl świta, że przecież po tym literackim czynie będzie można i na terenach Rzeczypospolitej mówić, co się myśli i co się chce powiedzieć... Przecież (miną ?) chwile, że, przy każdej okazji jakiegoś smarowidła literackiego, zabrzmią — na katarynce dziennikarsko-literackiej — hymny grunwaldzkie lub napomnienia o tem, że Polska jest, była i będzie *Antemurale Christianitatis...* Dlatego utwory literackie—jedynie z tego punktu widzenia je biorę — Marszałka Piłsudskiego są czynem wielce doniosłym dla literatury i ducha myśli w Polsce, bo je wyzwalają z opieki „bogobojności“ względem samych siebie. A że taka „bogobojność“ jest czemś wysoce bałwochwalczem, więc pokruszenie jej jest też czynem chrześcijańskim i religijnym. Dlatego zapewne Pan Marszałek tak ładnie napisał o życiu przyszłem i tak kategorycznie, o Wielkim Stwórcy Świata(?), a nieskończonem miłosierdziu Bożem, mówiąc prosto z mostu rzeczy prawe i prawdziwe w czasach, w których nawet pobożne zdawałoby się usta nie potrafią częstokroć ich nazywać po imieniu.

Ktoś podobno napisał książkę o literackiej twórczości Marszałka Piłsudskiego. Nie czytałem jej i wątpię, bym ją kiedykolwiek obecnie czytał. Ale garść myśli o charakterze krytyki literackiej mi się tu sunie pod pióro. Oto np. jest w jedynej komedji Racine'a „Pieniacze“ — *Les Plaideurs* — pewien ustęp o małych pieskach, którym się wydarzył smutny wypadek na kolanach pewnej dostojnej osoby — który świadczy o tem, jak w klasycznych epokach literackich nie wstydzono się nazywać rzeczy po imieniu. Przeciwnie, znajdowano pewną osobliwą przyjemność w jaskrawem przeciwstawieniu się w ten sposób obrzezańczym sposobom mówienia epok literacko lichych. Styl Marszałka Piłsudskiego setnie też przypomina manierę wielkiego pisarza współczesnej Francji, Leona Bloy, którego uznano swego czasu za pornografa, a który obecnie istnieje jako odnowiciel męskości myślowej katolickiej. Bo zrzucić zasłonę dwuznacznych słów — to postawić człowieka przed sobą takim, jakim jest—lichem i wielkiem zarazem stworzeniem, to kazać mu uznać nad sobą Pana. Tak swego czasu postępował w swem słownictwie i Dante albo i św. Heronim. Dlatego twierdzę, że czyn literacki Marszałka jest olbrzymio na czasie, a odpowiada wymaganiom literackim i myślowym dzisiejszym...

Za to niech mu będą dzięki.“

Przeczytałem artykuł O. Tadeusza Rzewuskiego, ale mi po tej lekturze wcale nie „lżej oddychać“ i zgoła nie „cieszę się coraz bardziej“. Przeciwnie, patrzę z żalem i na tę „bogoojczyźnianą katarynkę“, która—zadaniem autora—kaleczy mu uszy przypomnieniem, że Polska winna być Przedmurzem Chrześcijaństwa i tym całem dyskursem egzegetycznym w stylu i dość bojowym i zbyt „Boy” — owym, jak na osobę duchowną przystało, z ustępem o Dantem i św. Hieronimie, ale również o koprolalji Racine'a. A patrząc na to kółko, które przed nazwiskiem autora dodał niedyskretny „Dzień Polski“, na to O., które oznacza chyba „Ojca“, widzę pamięcią, jak wstaje przedemną inny obóz (ze szyllerowskiego dramatu) i inny Ojciec—Abraham à Santa Clara, także zamiłowany w soczystych wyrażeniach obozowych, bardziej pasujących do jego mniej wyrafinowanej, niż O. Rzewuskiego, kultury i tak sobie prawi o swoim wodzu, „znajdując osobliwą przyjemność w jaskrawem przeciwstawianiu się w ten sposób obrzezańczym sposobom... epok... lichych!“:

So ein Bramarbas und Eisenfresser
Will einnehmen alle festen Schlösser,
Rühmte sich mit seinen gottlosen Mund,
Er müsse haben die Stadt Stralsund,
Und wär sie mit Ketten an den Himmel geschlossen.
Hat aber sein Pulver unsonst verschossen!...
So ein Teufelsbeschwörer und König Saul,
So ein Jehu und Holofern,...
So ein listiger Fuchs Herodes— ...
So ein hochmütiger Nebukadnezer,
So ein Sündenvater und muffiger Ketzer,
Lässt sich nennen den Wallenstein;
Ja freilich ist er uns allen ein Stein
Des Anstosses und Argernisses...

Tak grzmi w dramacie Szyllerowskim Ojciec Abraham à Santa Clara przeciwko dyktaturze Wallensteina. Albowiem wolno p. Kaden-Bandrowskiemu, kiedy opisuje niedawne żałosne swoje przygody w Polsce zachodniej, skarżyć się, że został przywitany przez tamtejsze społeczeństwo „na odległość pały“, wolno mu zapominać,—jako że nie jest konserwatystą—iż każdy kij czy pała ma dwa końce. Ale jak z tem wszystkiem do twarzy „Dniowi Polskiemu“?

Nieszczęsny ten organ, stworzony najpierw przez senatorów, dziś sanatorów, wielkopolskich, potem za miskę soczewicy odstąpiony sanatorom (dziś posłom B. B.) autentycznej próby, zwykłą rzeczy ludzkich koleją, *mutatione rerum*, spadkiem po równi pochyłej, dostał się nareszcie pod auspicje młodego człowieka, który nie tak dawno przeszedł tu z obozu przeciwnego, a o którym słusznie przypuszczała ostatnio „Gazeta Warszawska“, że „rozpocznie zawody z osławionym p. Mackiewiczem“, jednym — dodamy od siebie i dowodami służymy na żądanie — z najbardziej ordynarnych publicystów w Polsce.

Stwierdzę na zakończenie, że w momencie, kiedy od steru niegdyś konserwatywnego pisma usuwają się lub odsuwają bardziej taktowne jednostki, w sądzie okręgowym warszawskim rozgrywa się właśnie w stosunku do administracji „Dnia Polskiego“ smutny proces o przywłaszczenie sobie funduszu prasowego (w postaci maszyny drukarskiej), stworzonego niegdyś, przy pomocy „Stronnictwa Zachowawczego“, przez ś. p. Konstantego hr. Broel Platera, jednego z tych ludzi w Polsce, którzy istotnie — jak to zaleca O. Rzewuski — mieli odwagę swojego zdania i swoich czynów i dlatego lepiej może, że nie patrzą dzisiaj oczami żywych na to, jak marnuje się ich wysiłek, i jak schodzi na manowce, pod kierunkiem fałszowanych konserwatystów, kierunek nie będący już dzisiaj niczem innem, jak bizantyńskim, zakażającym społeczeństwo, oportunizmem.

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

WYCHOWANIE NARODOWE

TOWARZYSTWO EDUKACJI NARODOWEJ

Od dłuższego czasu słyszeliśmy o przygotowaniach do stworzenia organizacji społecznej, któraby do pewnego stopnia zastępowała Radę Naczelną Wychowania Narodowego przy Ministerjum Oświecenia. Potrzeba takiej instytucji odczuwana jest przez społeczeństwo bardzo żywo. Wreszcie 9 listopada odbyło się zebranie organizacyjne Towarzystwa Edukacji Narodowej, zwołane przez założycieli, wśród których są dwaj byli ministrowie oświaty, pp. Antoni Ponikowski i Józef Mikułowski-Pomorski.

Zebranie zapoznało się ze statutem T. E. N., przyczem prof. B. Nawroczyński wygłosił dłuższy referat o zadaniach tworzącej się organizacji, poczem wybrano radę edukacyjną złożoną z 75 osób, która według statutu jest jedną z władz T. E. N. Rada Edukacyjna wybrała Wydział Wykonawczy, do którego weszły następujące osoby: pp. Gabrjela Balicka, Józef Janota-Bzowski, Piotr Drzewiecki, Józef Karśnicki, Stefan Kreczmar, Emanuel Łoziński, Józef Mikułowski-Pomorski, Bogdan Nawroczyński, Antoni Ponikowski, Gustaw Przychocki, Paweł Sosnowski, Świeżyński, ks. biskup Antoni Szlagowski, Stanisław Antoni Thugutt, Tadeusz Woyno.

Statut przewiduje m. i. tworzenie oddziałów prowincjonalnych T. E. N. „w miarę budzenia się inicjatywy miejscowej“. Zważywszy na doniosłość celów, jakie ma przed sobą T. E. N. pożądane jest, ażeby takich oddziałów powstało niebawem jaknajwięcej.

Cele T. E. N. określa statut w sposób następujący: 1) „budzenie zainteresowania wśród społeczeństwa dla spraw, związanych ze szkołą i wychowaniem młodzieży; 2) współdziałanie z władzami państwowemi w sprawach, dotyczących szkolnictwa i wychowania narodowego; 3) roztoczenie pieczy ze strony społeczeństwa nad szkolnictwem wszystkich stopni i wychowaniem młodych pokoleń w Polsce; 4) ustalanie na podstawie pogłębionych badań — zasad, opinij i metod postępowania w dziedzinie kultury polskiej oraz opracowywanie projektów w zakresie szkolnictwa i wychowania publicznego“.

Prof. Nawroczyński w przemówieniu swem wysunął na plan pierwszy cele społeczne wychowania, które służyć winno dobru narodu i państwa. Potęgując twórczość ducha polskiego we wszystkich dziedzinach, przyczyni się wychowanie najskuteczniej, zdaniem prelegenta, do zwiększenia się udziału Polski w pokojowej współpracy narodów kulturalnych dla dobra całej ludzkości. Ściśle związane z celami społecznemi wychowania jest kształcenie dzielnych, twórczych i szlachetnych charakterów nowego typu Polaka, przygotowanego zarówno fizycznie, jak umysłowo i moralnie do podźwignięcia obowiązków, wynikających z posiadania włas-

nego państwa — taki Polak będzie znajdował osobiste szczęście przedewszystkiem w służbie dla dobra powszechnego.

Mówiąc dalej o zaletach charakteru narodowego polskiego, które należy rozwijać, oraz o wadach, które należy zwalczać, zaliczył prof. N. do tych ostatnich: nieudolność do długotrwałych wysiłków, niekarność społeczną i ducha koterji — oraz wytworzony w okresie niewoli nałóg konspirowania i nieposzanowanie prawa. Musimy tu zaznaczyć, że postulat działania „zawsze jawnie i otwarcie" wymaga stworzenia warunków, które sięgają daleko poza szkołę — szkoła jest przygotowaniem do życia, dopóki zatem w życiu postulat powyższy nie będzie zrealizowany, dopóty stawianie go na gruncie szkolnym będzie szlachetną złudą. To samo mniej więcej tyczy się ducha praworządności. Zrealizowanie zaś tych warunków w życiu publicznem wymaga walki politycznej. I tu nawiązuje się niezmiernie ważny problem wychowania obywatelskiego, zdaniem naszem, zbyt powierzchownie i banalnie potraktowany w programowem przemówieniu — mianowicie problem kształcenia myślenia politycznego. Problem to bardzo zawiły i trudny, który powinien być wzięty pod rozwagę w łonie T. E. N., nie zaś rozstrzygany zgóry zdawkowemi ogólnikami o „zgubnym wpływie walk politycznych i doktryn partyjnych", o „zatruwających dusze namiętnościach politycznych". Faktem jest, że w państwie współczesnem każdy obywatel musi umieć myśleć politycznie i musi zatem być do tego przygotowany. Nie można traktować „polityki" jako dziedziny życia, będącej przywilejem wybranych, lub też *par excellence* niemoralnej. Ażeby było jak najmniej n a m i ę t n o ś c i politycznych, trzeba dążyć do wytworzenia w o l i politycznej, opartej na m y ś l e n i u politycznem, zdolnem do kompromisów w imię wyższego dobra zbiorowego. Tylko w społeczeństwie bez w o l i politycznej i bez zdolności m y ś l e n i a politycznego mogą zachodzić wypadki, jakich jesteśmy świadkami, i powstawać nastroje niepokoju, co jutro przyniesie z woli „czynników miarodajnych". Tylko w takich warunkach możliwe są słowa, głoszone przez radjo na całą Polskę — i na cały świat—że „Bóg dobry na dni naszego odrodzenia zesłał nam Człowieka, któremu dał siłę woli nadludzką, a taką, aby rosła w miarę jak rosną przeciwności. I w serce tego Człowieka włożył Bóg dobry odwagę wielką, aby w chwilach najcięższych brał na siebie za cały naród brzemię decyzji i odpowiedzialności. I kazał Bóg dobry temu Człowiekowi iść do Wolnej Ojczyzny drogą daleką i trudną, ciernistą i krwawą. I Człowiek ten doszedł. Dziś ma s w o j ą wolną Ojczyznę, ma władzę w ręku, ma miłość wojska i zaufanie olbrzymich mas narodu. I uznał ten Człowiek, w zgodzie ze wszystkimi rozumnymi mężami kraju, że dla szczęścia i chwały Ojczyzny trzeba zmienić Jej zasadnicze prawa. I pomyśleć, że są w Polsce ludzie, którzy chcą Mu w tem przeszkodzić. Ci ludzie także przejdą do historji, ale zaprawdę nie z wieńcem laurowym na czole".

Minister Sł. Czerwiński w swej mowie wileńskiej zapowiedział wprowadzenie do szkoły polityki, polityki w znaczeniu urabiania poglądów na wydarzenia z ostatnich lat 15 w duchu „marszałkologji", jak to ktoś nazwał. „Atmosfera spokojna i radosna" w szkole, gdzie młodzież będzie zmuszana do uznawania za prawdę to, co jej najbliższe otoczenie uważa za fałsz, nie da się pomyśleć. — A jednak — mimo takiej parodji myślenia politycznego — problem pogłębienia i ożywienia życia politycznego istnieje i powinien wywoływać próby rozwiązań.

Zatrzymałem się dłużej nad tem zagadnieniem, które mi się wydało nie dość poważnie potraktowane w referacie. Inne omawiane tam kwestje nie nasunęły mi takich wątpliwości. Pogłębienie wiedzy pedagogicznej, piecza nad życiem rodzinnem jako czynnikiem wychowania, wytwarzanie współdziałania rodziny ze szkołą w dziele wychowania, stworzenie systemu szkolnego, któryby dawał możność kształcenia się jak najwyżej uzdolnionym do tego, nie obniżając poziomu kultury ogólnej, reformy przeprowadzane z umiarem i rozwagą, popieranie organizacyj młodzieży, jako ważnego czynnika wychowania społecznego, ułatwianie młodzieży należytego wyboru zawodu — oto są wszystko dziedziny pracy niezmiernie doniosłej, do której stanąć winni w miarę swoich sił i możności wszyscy, rozumiejący ważność sprawy wychowania dla przyszłości narodu i państwa — sięgającej dalej, aniżeli rządy dzisiejsze.

BR. ŻAK

NAUKA I LITERATURA

Z DAWNEGO WILNA

MAMY przed sobą bardzo dobrą książkę: S t a n i s ł a w a P i g o n i a „Z dawnego Wilna. Szkice obyczajowe i literackie".

Jest to skarb pamiątek z epoki Mickiewicza, klejnotów charakterystyki różnych ówczesnych postaci i zdarzeń, a profesor Pigoń był tych skarbów poszukiwaczem szczęśliwym. Poniósł wiele trudów dla odszukania i przepatrzenia archiwów wileńskich i okolicznych, przerozmaitych z owego czasu raportów urzędowych, projektów i uchwał uniwersytetu, pamiętników, korespondecyj, notatek gazet i orzeczeń cenzury. Słowem wszystko, co składało się na oficjalną stronę życia intelektualnego i jego nurt uczuciowy, podziemny.

Ile z tych materjałów w czasie długoletniej, dewastacyjnej gospodarki rosyjskiej na ziemi wileńskiej i nowogródzkiej zginęło, niktby nie zliczył. O zatarcie śladów wzniosłości, jak śladów zbrodni, barbarzyństwa i fałszerstw, starali się nie tylko obcy, ale i swoi. Tak naprzykład profesor, później rektor, Pelikan, spalił trzecią część pamiętnika profesora uniwersytetu Franka, a dwie poprzednie części uszczuplił z wiadomości, które, choćby najdyskretniej, miały informować o jego, rektora, renegackich matactwach. Także i sam czas lat minionych, milczenie polskiej nauki, a tendencyjne przez historję i publicystykę rosyjską komentowanie wydarzeń, wpłynęły na, co najmniej, zobojętnienie w odkopaniu tych spraw z mogiły niepamięci i przebudzenie ich z letargu.

Nie są to sprawy wyłącznie smutne, żałobne.

Przeciwnie.

Bujnie rozkwitało umysłowe życie Kresów. Z ciemnych chmur, które ciążyły nad uniwersytetem w Wilnie, liceum w Krzemieńcu, i po przeprowadzce tego liceum do Charkowa, błyskawicami ideału i rakietami żartu wystrzelała wgórę myśl polska. Serdeczny związek łączył społeczeństwo z jego uczelniami i uczniami, a może najżywiej, najplastyczniej zarysował się ten związek w Wilnie.

Wśród nagromadzonych przez autora materjałów, ukazanych z niepospolitym darem opowiadania, nie brakło tematu do groteski. Czy to z humorystycznego punktu widzenia na szpiegowską i śledczą, a nawet wiezienną atmosferę

karnego systemu rosyjskiego, czy na farsowe sylwety pseudonimowych lub domorosłych polityków, nędznych kreatur, karjerowiczów i lizusów.

Taki Zorjan Dołęga Chodakowski, po Naruszewiczu pierwszy, zapalony do odłogiem zostawionego ludoznawstwa i krajowej archeologji, ale dyletant dziwak, bodaj że niespełna rozumu, cóż za figura! Albo komiczny, choć, zdaje się, nie bez walorów naukowych, bibljotekarz Kontrym. Albo tragi — zabawne przeprawy z władzami cenzora Kłągiewicza. Frywolne figle studentów na ulicach i redutach. Szczucia wielkiego księcia Konstantego, zdaleka, z Warszawy, na polskie szkolnictwo na Wileńszczyźnie. Wawrzyniec Marczyński, grafoman, godny „poety“ Kiszki, ukazany w tej żywej i mistrzowskiej mozajce epoki.

Szkice Pigonia dopatrują i oświetlają historję kultury tych lat, uwydatniając obok bohaterskich epizodów męczeństwa narodowego, także ku wiecznej rzeczy pamięci lojalność różnego typu miernot i nędzot, — nie Moskali, czynowników, niby w tem nie było niespodziewanego, — ale Polaków z rodu, tradycji i wykształcenia.

Prawdzie historycznej należy się, aby kiedyś w przyszłych studjach o ideologji narodowej na Kresach znalazły się portrety psychologiczne tych, którzy szli z Moskalami ręka w rękę, często nawet wyprzedzali ich metody i przyczyniali się do gnębienia polskości.

Autor książki „Z dawnego Wilna“ tylko pośrednio dotyka ogólnej kwestji wileńskiej martyrologji. Nie roztkliwia się i nie rozżalawia nad djabelską inkwizycją Nowosilcowa, ani nie potępia Polaków renegatów, czy to zbałamuconych politycznie jak Henryk Rzewuski i Michał Grabowski, czy wprost zaprzańców, jak Sękowski, biskup Siemaszko, Gurowski. Patrzy pogodnie na te ciemne dzieje, po których narodowe życie Polski przeszło, po dziś dzień, zwycięsko

Każdy z rozdziałów książki omawia inne, choć ze wspólnej dziedziny, zdarzenia i nastroje romantycznej epoki w Wilnie. Pomnaża wiedzę o dawnym uniwersytecie i umysłowości ówczesnej, wiadomościami nowemi, podanemi słowem bliskiem i prostem.

Tytuły rozdziałów książki: Dyletant osobliwy przed sądem uczonych, Projekt Katedry języka litewskiego na dawnym uniwersytecie wileńskim, Kłopoty księdza cenzora, Z życia młodzieży akademickiej, (1. W sali wykładowej i na reducie, 2. Awantura w teatrze), „Występne“ książki. Sztambuch Maryli, Postawa religijna młodego Mickiewicza, Przed odjazdem w „Daleką, nieznajomą drogę“, (1. przypuszczalny wiersz Mickiewicza, 2. dziwne losy wiersza sztambuchowego), Pierwsza wigilja wygnańca, Między Rosją a Polską, Szermierz obskurantyzmu, Jan Andrzej Ram, wileński neofita — Towiańczyk, Słów kilka o tak zwanej Madonnie Mickiewicza w Dukszt ach, Pierwszy projekt pomnika Mickiewicza w Wilnie.

W tym ostatnim rozdziale mówi autor, nie, jakby się na pierwszy rzut oka wydawało, o projekcie pomnika za czasów wolnej Polski, nawiasem mówiąc projekcie dziwnie zaprzepaszczonym. Był taki projekt, pierwszy, w początkach panowania Aleksandra II-go. W urzeczywistnieniu przewlekał się tak długo, że wreszcie z odmiennym kursem polityki rządu stanął w Wilnie pomnik Murawiewa-Wieszatiela.

Bogata w interesujące kontrasty jest książka profesora Pigonia. Pełna uroczej wyobraźni, pracowita, świetna, niezapomniana.

Wydana została kosztem Magistratu miasta Wilna jako jeden z tomów „Bibljoteczki Wileńskiej“. Dotychczas, prócz tego zbioru szkiców „Z dawnego Wilna“, wydano studja historyczne:—Rodkiewiczówna J. „Cech introligatorski w Wilnie. Zarys historyczny“ i Łowmiańska M. „Wilno przed najazdem moskiewskim w 1655 r.“

ANTONI WYSOCKI

Z ŻYCIA NAUKOWEGO I LITERACKIEGO

W d. 13 grudnia odbyło się doroczne posiedzenie War. Tow. Naukowego. Otworzył je przemówieniem prezes prof. Kaz. Żórawski, który zaznaczył, że pomimo trudności finansowych rok ubiegły był lepszy od poprzednich. W Tow. czynne są cztery wydziały: 1) językoznawstwa, historji literatury i sztuki: 2) nauk historycznych i społecznych, 3) nauk matematyczno-fizycznych, 4) nauk biologicznych. Wpływy wyniosły 720.000 zł. i nie zaspokoiły nawet połowy potrzeb. Na remont pałacu Staszica wydano 400.000 zł. Tow. wzywa do ofiar. Tow. powołało na członków 13 uczonych. Przyznało dwie nagrody: M. Maluszyńskiemu za pracę „Analiza bitwy pod Płowcami“ i Sz. Szczeniowskiemu za pracę „O selektywnem odbiciu elektronów od kryształów“.

*

Nagrodę literatury państwowej w kwocie 15.000 zł., jak było do przewidzenia, otrzymał Ferdynand Goetel z Penklubu za „Serce Lodów“. Włodz. Perzyński dostał 1 głos (Miłaszewskiego). Kaz. Iłłakowiczówna 1 głos (Kołaczkowskiego). Za Goetlem głosowali: prof. Ujejski, Kaden-Bandrowski, Grubiński, Choynowski.

*

Znany pisarz Juljan Ejsmond, którego bajki i opowiadania myśliwskie cieszą się takiem powodzeniem, był urzędnikiem w min. rolnictwa. Otrzymał teraz nagle dymisję. Powody dymisji wyjaśnia w liście otwartym. Oto urywki, charakterystyczne dla naszych czasów: „Pragnę potwierdzić podawany przez prasę, jako pogłoskę, podwód mego ustąpienia. Otrzymałem dymisję za napisanie feljetonu w „A B C“ pod tytułem „Udekorowane bydlę“, co mi zostało urzędownie zakomunikowane. W feljetonie tym opowiedziałem prawdziwy fakt, jak pewna bohaterska krowa została we Francji odznaczona orderem w czasie wojny. Czyż mogłem myśleć, że ktoś może obrazić się na mnie za to i wziąć do siebie tytuł feljetonu? Samo przypuszczenie takie uważałbym za wykroczenie służbowe. Pisałem setki bajek, w których występowały osły, świnie i inne zwierzęta, ale nigdy nie miałem wypadku takiego zareagowania na satyrę. Pisałem bajkę o psie, który szczekał na złodziei „w każdym państwowym urzędzie“, a za bajkę tę otrzymałem książkę ówczesnego szefa kontroli jeneralnej ś. p. Żarnowskiego, z przepiękną dedykacją w uznaniu pożyteczności i potrzeby mej satyry. Nie bajka bowiem ośmiesza, ale obrażenie się o bajkę. Powiedział to już stary Ezop, który nie jest urzędnikiem państwowym i którego wylać za to mądre zdanie nie można.

A teraz słówko o formie, w jakiej mnie usunięto. Po 14 latach służby państwowej w wojsku, prezydjum Rady ministrów i ministerjum rolnictwa (gdzie opracowałem ustawę łowiecką), zostałem usunięty w dniu 6 b. m. z dnia na dzień, a że nie byłem stabilizowany — bez emerytury, z 3-miesięczną pensją bez dodatków“.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Liga Katolicka w Poznaniu wydała ostatnio ciekawą rozprawkę Witolda Bronowskiego p. t., „Ugoda laterańska“. Temat swój potraktował autor wszechstronnie, uzupełniając przedstawienie treści trzech umów laterańskich z 11 lutego 1929 — krótkiem oświetleniem dziejowem problemu oraz przedewszystkiem analizą bezpośredniego tła ugody, na które składały się i składają wzajemne stosunki kościoła katolickiego i faszyzmu. Stosunki te, pomimo że od samego początku opierały się zasadniczo na idei współpracy, odbiegając znacznie od stanu rzeczy, jaki istniał przed rokiem 1925, nurtuje jednak wiele głębokich sprzeczności, przejawiających się nieraz zupełnie jaskrawo, np. w sprawie wychowania młodego pokolenia. Wynikają one głównie z różnic doktrynalnych, z różnic jakie zachodzą między poglądem katolickim na życie jednostkowe i społeczne, a faszystowskim bezgranicznym kultem państwa, który urasta do typu *sui generis* religji. Na tle powyższych antagonizmów, że weźmiemy choćby spór między Stolicą świętą a faszyzmem na temat wychowania, tem bardziej charakterystycznym i doniosłym staje się fakt zawarcia paktów laterańskich, fakt ich ratyfikacji i wprowadzenia w życie, świadczy to bowiem, że bez względu na istniejące rozbieżności, nawet bardzo poważne, przeważa jednak zdecydowanie pragnienie współpracy, co pozwala przypuszczać, że w przyszłości, w drodze ewolucji, kościół katolicki i faszyzm dojdą do pełnej harmonji, poprzez doprowadzenie pewnych założeń doktrynalno-politycznych faszyzmu do formuł najwłaściwszych. Zagadnienie powyższe posiada ogromną doniosłość, ogólną. To też wdzięczność należy się autorowi, który, nie

wchodząc w zbytnie szczegóły, przedstawił problem w całej jego rozciągłości w 40-stronicowej książce, omawiając to co najważniejsze w sposób jasny i interesujący.

*

Ks. Józef Kłos wydał wartościową książkę p. t. „Na drugiej półkuli". (Str. 719. 80 ilustr. Nakładem Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu). Autor jako kapłan brał udział w zjeździe eucharystycznym, który się odbył w Chicago, i z tego względu stosunkom religijnym udzielił sporo miejsca. Ale na nich bynajmniej nie poprzestał. Właśnie sprawy religijne dały mu szeroką podstawę do zobrazowania polskości, jej walk z amerykanizmem, jej trosk i smutków. Poznał również urządzenia amerykańskie — polityczne i gospodarcze, naturę nawet (Niagarę). Opisy jego są wzorem stylu, pisze w sposób miły, wesoły, barwny i mądry.

Z LITERTURY ZAGRANICZNEJ

„Madinina, Reine des Antilles" (Editions Berger-Levrault). Imię to, podobno królowej Karaibów, która panowała na wyspie Martynice, bo o nią to w danym wypadku chodzi—kiedy na nią wylądował Krzysztof Kolumb. Autorem tej książki, bogato ilustrowanej, o przepięknej francuskiej wyspie, jest Dr. Dufougeré, urodzony na niej. Podkreśla on, iż nie ma żadnej zgoła pretensji do utworu literackiego. Niemniej jednak w sposób bardzo prosty, a malowniczy skreślił historję Martyniki i jej zwyczajów. Doktór William Dufourgeré jest nieocenionym *Cicerone* dla każdego, ktoby sę chciał udać czy też tylko zapoznać bliżej z wyspą, na której się urodziła urocza Józefina Tascher de la Pagerie, przyszła Cesarzowa Francuzów.

*

Ukazało się ostatnio siódme (uzupełnione) wydanie szkiców filozoficznych i literackich Giovanni Papini'ego p. t. *„24 Cervelli"* (mózgi), poświęcone charakterystyce wielu wybitnych umysłów rozmaitych epok oraz krajów, od Dantego np. do Tołstoja i Dostojewskiego. Giovanni Papini należy sam do oryginalnych, w każdym razie nieszablonowych „mózgów", w szkicach więc jego niemało jest spostrzeżeń świeżych, chociaż dotyczą one rzeczy, o których nie wiele istotnego można już powiedzieć.

SZTUKI PLASTYCZNE

POLITYKA W SZTUCE

JAK armja tak i sztuka powinna być w dziedzinie polityki bieżącej „wielką niemową". Należy tę zasadę w taki sposób rozumieć, że każdy artysta, jako obywatel, korzysta ze wszystkich praw i swobód politycznych, ale nie wolno mu wprowadzać polityki do czynności związanych ze sztuką. W myśl tej zasady artysta jest swobodniejszy od żołnierza, a tylko sztukę dzieli ta sama odległość od polityki, co i armję. Zasadę tę ustanowił wzgląd na zdrowie i górny charakter sztuki, jako objawienia szczytów ducha ludzkiego.

Chwilowo, w Polsce dnia dzisiejszego, w oparach „radosnej twórczości", jak wiele innych, tak i tę zasadę przewrócono do góry nogami. Artyści jako obywatele w polityce są nieobecni, bezwolni i bezmyślni, natomiast sztukę ciąga się i poniewiera po zakamarkach polityki, albo też miarami politycznemi oznacza się i mierzy wartości artystyczne. Przodują w tem przekręcaniu życia żydzi — ci z urodzenia wynaturzeńcy i złośliwi troglodyci ludzkości.

Obecnie w przeróżnych urzędach państwowych Polski „niepodległej", związanych z kulturą wogóle a sztuką w szczególności, niby migdały w pierniku, siedzą gęsto, choć szczelnie poukrywani, mocno umyci, wyszorowani i wypolerowani szajgece i puryce „mniejszościowi", których głównem zadaniem jest robienie w sztuce polskiej posunięć polityki żydowskiej. Sieć dobrze utkanych i zadzierzgniętych nici łączy ich we wszystkich kierunkach z purycami prasy krajowej i zagranicznej, szajgecami sztuki i szabesgojami wszelkich zawodów i zawołań.

Z pośród wielu tego rodzaje posunięć podejmę tu jedno. Niechaj posłuży do zobrazowania sprawy. Urzędowa P. A. T. posiada między innemi swój biuletyn p. t. „Kultura, Nauka, Sztuka". Otóż dnia 6 grudnia r. b. ukazała się w tym biuletynie następująca niezwykłej doniosłości wiadomość (przytaczam dosłownie): „Obiad na cześć artysty malarza Kislinga w Paryżu. Czasopismo *„Paris-Montparnasse"* wydało obiad na cześć polskiego artysty malarza Kislinga. Obiad, w którym wzięli udział przedstawiciele świata artystycznego Paryża, głównie z dzielnicy Montparnasse, przeciągnął się w bardzo ożywionym nastroju niemal do rana".

Wiadomo, że ów p. Kisling jest żydem i że na reprezentacyjnej wystawie sztuki francuskiej, urządzonej w maju r. b. w Warszawie, występował jako Francuz, a na wystawie polskiej sztuki współczesnej, urządzonej jesienią r. b. przez *„Editions Bonaparte"* w Paryżu, występował jako Polak. Ponieważ ten narodowościowy kontredans p. Kislinga został w prasie obu krajów ujawniony, więc widocznie p. Kisling poczuł nareszcie dotkliwą konieczność ostatecznego przypisania się do jednej z dwu kultur. Zapewne otrzymał dobre kopnięcie ze strony francuskiej, skoro nagle Polskę zaszczycił swoją obywatelskością w uroczystym obiedzie i oficjalnym biuletynie Polskiej Agencji Telegraficznej.

Wszystko to — razem z milczącym gestem sztuki francuskiej (tam gdzie kończą się krzyże p. Kislinga) — stanowi dla żyda normalny obrót spraw jego obrotności. Zadziwiający jest tylko w tej aferze udział polskiego urzędu państwowego, w charakterze famulusa, biegnącego na pomoc zagrożonym interesom żydka międzynarodowego. Ale i ten dziw wyjaśnia się wiadomością, że redaktorem biuletynu „Kultura, Nauka, Sztuka" w P. A. T. jest jeszcze jeden żyd, niejaki p. Jerzy Szwejcer, karykaturzysta, rysujący pod pseudonimem „Jotes". Jeden migdał, mocno już siedzący w polskim pierniku, wpycha w ciasto drugiego migdała, któremu gościna we francuskim pierniku trochę się nie udała.

Ponieważ ów p. Szwejcer jest zawodowym humorystą, więc i wiadomość przezeń zredagowana wypadła humorystycznie. Sam pomysł obiadu wydanego przez jakieś dzielnicowe pisemko brukowe, zapewne żydowskie, z udziałem przedstawicieli sztuki „z dzielnicy Montparnasse" — już niezłą jest karykaturą. A że przeciągnął się „niemal do rana" i tem zachwycił Polską Agencję Telegraficzną, przeto redaktor biuletynu zasłużył na order *„Polonia Restituta"* za humor radosnej twórczości państwowej. Ośrodkiem jednak wiadomości są słowa „na cześć polskiego artysty Kislinga". To mianowicie jest kąskiem właściwym, który z całego sosu obiadowego ma swój cel praktyczny. P. Kisling po wielu ruchach wahadłowych otrzymał we Francji tak sprężystą zachętę, że stał się „polskim artystą" — i właśnie o tem wiekopomnem zdarzeniu ogłasza światu Polska Agencja Telegraficzna.

Używanie sztuki, jej treści, wartości, powagi i jej spraw osobistych do zamaskowanych posunięć politycznych, stosowane z całą bezczelnością przez żydów, zaczęło w ostatnich latach przenikać również do polskich sfer artystycznych, niestety! Istnieje cały odłam artystów polskich, którzy idą ręka w rękę z żydami, udającymi Polaków, i w sztuce uznają siebie za „lewicowców". Samoreklamę przyjęli za broń godną sztuki, a warunkiem posiadania talentu jest dla nich dana orjentacja polityczna, automatycznie zapewniająca karjerę. Ordery, odznaczenia, dyplomy, subsydja, stypendja, zamówienia ze stron miarodajnych dostępne są tylko dla lewomyślnych artystów, ci zaś stanowią grupę zwartą, fanatyczną i tak moralnie upadłą, że nawet nie mają potrzeby bronić dostępu do szeregów swoich przed „żywiołami obcemi". Nikt uczciwy do nich się nie pokwapi bodaj ze względu na normalną wrażliwość własnego powonienia.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

OFENSYWA

„RENAISSANCE" W „POLSCE ZBROJNEJ"

ARMJA polska składa się w 98 procentach z Polaków wyznań chrześcijańskich. Izra-elity jest sporo w generalicji, intendenturze, w kancelarjach, ministerstwie, w pierwszej brygadzie i w prasie pierwszej brygady.

Redaktorem „Polski Zbrojnej" jest obecnie p. Wł. L. Evert, ewangelik ale nie ewangelicznej czystości człowiek, o ile sądzić można po jego t. zw. poezjach, w których *libido sexualis*, chuć płciowa manifestowała się w sposób zgoła perwersyjny mocnemi inklinacjami do „rudych kokot" w futrach, gwałconych przez kosmate mandryle i pawjany... Trzeba jednak przyznać, że pod batutą p. Everta „Polska Zbrojna" prowadzona jest znacznie ciekawiej, przyzwoiciej i solidniej, niż to było dawniej za różnych Porajów i t. p. byłych reporterów panów z „Poranniaka". Jeszcze za dużo tam pod pseudonimami „róż jerychońskich" ale pewna „czystka" i tam miała miejsce. Wobec tego atoli, jak to często bywa, starają się pisarze katolickiej i aryjskiej prozapji zdystansować żydów i żydówki w propagandzie tego, co z ducha pansemickie.

Par exemple p. E. Kozikowski, krytyk zresztą zawsze mocno *judaisante*.

Nakładem firmy „*Renaissance*" wyszła książka Emila Ludwiga Cohna p. t. „Syn Człowieczy". Kto zacz firma „*Renaissance*" wiemy i kto zacz Emil Ludwig też wiemy. Dla tego sobie jeszcze raz powtórzymy. „*Renaissance*" to jest zakała, to jest hańba polskich firm wydawniczych. Postacie geszefciarskie typu budapeszteńskiego trafiają się wszędzie. Nigdzie atoli nie występują handlarze papierowym towarem z taką bezkarnością jak u nas. Idzie ta *bagage* z najdzikszego „*Bärenlandu*" oraz ghetta w Drohobyczu czy w Dopczycach... *Gebrüder* Erdtracht... Szloma Benjamin... Naphtali... Pinkus i Zbyszek. Coś w guście „braci Szklarek" w Berlinie. Ciągle blisko kryminału i na wolności. Prowokujące gudłaje, stale wydający pornograficzne romanse, mają czelność wydania np. książki Fryd. Lamy o „Ojcu Świętym", a że tłumaczy jakiś Tarnowski, więc konserwatywny „Czas" zamieszcza o tem długą recenzję! Triumfujące, bezkarne geszefciarze ogłaszają np. nową „powieść" Adama Czekalskiego p. t. „Gdy królowa kocha" i do tego dają reklamę: „nowy, niezwykły talent, przypomina żywo Sienkiewicza". Bezkarni spryciarze wydają koprofagity Margueritta, powieść wieprzowatą „*Le Compagnon*" pod tytułem „Towarzyszka", a gdy świnoderja nie idzie, obleśne żydy zdzierają okładkę starą, dają nową z tytułem „Idealna kochanka" i na trzeciej stronie dopiero chytrze informują, że to cochonnerja ta sama

O książkach tedy takiego „*Renaissance*" nie pisze się w solidnych pismach, ani też na głos „firmy" Erdtracht się nie wymienia. Nawet słowo „*Renaissance*" już jest *shoking* przez czas pewien, dopóki takie obskurne subjekta z suteryn Ghetta używają je za szyld swego zamtuzu, tymczasem atoli nietylko się nie przemilcza fabrykatów firmy tego Erdtrachta ale tu i ówdzie pojawiają się reklamy spryciarzów („Dzień", „Czas", „Wolnomyśliciel" i t. p). „*Renaissance*" obok pornokraty Margueritte'a wydaje także masowo niejakiego Emila Ludwiga Cohna z Berlina, (Pitigrillego porwały mu z pod nosa inne żydy). Modny, bezczelny konspiratorpfujletonista Taylor-System. Masowa produkcja standardowych monografij wielkich ludzi (towar sezonowy). Co kwartał Kohn wali nowy tom; na maszynach „Michał Anioł" na złość Gojom, nie Judasz, nie Trocki, nie Kuba Rozpruwacz a właśnie „Michał Anioł". Jeszcze nie ucichło oburzenie na berlińskiego jewreja za to, co na benefis „*Deutschland, Deutschland über alles*" naoszukiwał, nałgał i naszachrail w książce polityczno-historycznej p. t. „14 Lipiec", a co sadysty żydy z *Renaissance*'u wydają p. t. „Europa we krwi" (*sic*!) a Kohn już zrzuca na łby tłumów Izraela „Michała Anioła".

Otóż o fabrykatach takiego sezonowego chajfeca też pisać koniecznie niema racji i sensu. Setki poważnych, pięknych i uczciwych książek i u nas w Polsce wychodzi a o nich się nie pisze. A tymczasem „Polska Zbrojna" ni stąd ni zowąd zamieszcza spóźniony referat p. E. Kozikowskiego o starej jeszcze elukubracji berlińskiego Kohna t. j. o... „Synu Człowieczym". Poco i na co? Żeby oficerowie polscy tuczyli spaśnego Erdtrachta i „kształcili się" na bezczelnej ekspektoracji Judaszowskiego Kohna? Z jakiej racji gorąco zalecać polskiemu korpusowi oficerskiemu lekturę sezonowego *opus* brukotłuka z Berlin - Westend, dostawcy intelektualnych „*Pralinés*" dla bankierowych i jobberek giełdziarskich? Komu zależy na odchrześcijanieniu korpusu oficerskiego? Dlaczego poleca się wojsku polskiemu do czytania judaszowską ekspektorację berlińskiego geszefciarza, „udowodniającego", że Chrystus był tylko człowiekiem, arcyczłowiekiem, najpiękniejszą legendą, ucieleśnionym mitem, ale nie Jezusem, nie Synem Bożym, nie Zbawicielem, nie Odkupicielem. Po co p. Kozikowski podjął się tej szpetnej misji i dał się bandzie żydów ze Skariotu Galilejskiego namówić do propagandy ateizmu i bezbożnictwa w wojsku polskiem?

Jak mógł p. Kozikowski dać się uwieść przebiegłej i przewrotnej przedmowie p. Hulki (?) Laskowskiego, tej dziwnej postaci, jakby ze świata Arjanów polskich z 17-go wieku wyciętej, który pisze w pismach ewangelickich („Zwiastun" i „Głos") kalwińskich („Jednota") i równocześnie podpiera schyzmę Narodowego Kościoła („Polska Odrodzona"). Pan Hulka Laskowski, w swej bezdennej naiwności żyjącego na prowincji samotnika, rezonuje, że „Emil Ludwig podchodzi do Chrystusa od strony ludzkiej". To bzdura ignorancka; E. Ludwig Cohn podchodzi do Chrystusa od strony judaszowskiego geszefciarza i cynika z prusko - semickiego Berlin West. Nie jest to żaden objaw „budzących się tęsknot religijnych świata powojennego", niema w tem „ważkości słowa urodzonego w doznaniach moralnych najwyższego gatunku", ale jest literacki *business* bardzo zdolnej, szczwanej, kutej na cztery nogi wielkomiejskiej kreatury pansemickiej, antychrześcijańskiego agitatora, który raczej „zadość uczynił tęsknocie czasów dzisiejszych za człowiekiem" (Kozikowski). A kiedy nowowynajęty propagator ateizmu wśród wojska pisze: „niewątpliwą zasługą Ludwiga jest pogłębienie psychologiczne postaci Jezusa", no to, to jest i bluźnierstwo i barbarzyństwo definitywne. Pan Kozikowski podchodzi do tematu bez żadnego przygotowania widocznie, jako *homo rudis*, nieoświecony słowianin. Widocznie literatury przedmiotu ani liznął, ani jej bogactwa i obfitości nie przeczuwa. Imponuje mu pierwsza z brzegu książka drugorzędnego nadreportera niemieckiego, modnego i *en vogue* przez jerychoński wrzask prasowy. Opił się tedy fejletonistyczną erudycją i swadą Cohna, sezonowego autorytetu (po C. Chaplinie) i tarza się w zachwytach, odkrywszy takie *lumen* de Berlin. Wrażeniami swojemi atoli mógł się podzielić z czytelnikami jakiegoś literackiego organu, gdzie wiadomą jest rzeczą, ile i jakie miejsce przeznaczone jest dla E. L. Cohna.

Propagowanie takich ordynarnych, antychrześcijańskich bezeceństw (nawet „wzorowo tłumaczonych") w wojsku polskiem jest bolszewizmem czy bolszelmostwem, „temperowaniem" przedwstępnem, miękkiem ale że w rzeczach duchowych, w rzeczach wiary, przeto ważnem, zgubnem, szkodliwem i złoczyńskiem. Elukubrat Cohna protegowany jest w „Sowietach" przez działaczy bezbożniczych. Niechże więc p. Kozikowski zostawi taką pracę literacką „naszym najmilejszym" i nie stara się być więcej żydowski od samych żydów, „podchodzących" do Chrystusa od strony.. Skariotu... ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

W „Księdze Pamiątkowej ku uczczeniu 350-lecia Uniwersytetu Wileńskiego", pierwszy rektor odrodzonej Wszechnicy, prof. Michał Siedlecki, opowiada o trudnych warunkach, śród których Wszechnica powstawała, szczególnie w związku z przymusową ewakuacją i ucieczką przed bolszewikami. Ale wedle niego największe trudności napotkał on od tych, co, z ówczesnym Naczelnikiem Państwa na czele, dowodzili, że „uznanie Uniwersytetu Wileńskiego za Uniwertytet polski byłoby pewnego rodzaju zaskoczeniem opinji europejskiej i t. zw. „*fait accompli*", którego należy unikać". W tej sprawie (pisze dalej prof. Siedlecki) „miałem dwie rozmowy z Naczelnym Wodzem. Pierwsza zupełnie nie dała rezultatu i była tak denerwująca, że po niej czułem się zupełnie nerwowo wyczerpany i niemal chory". (t. II. 97). Ustęp cały zamyka prof. S. uwagą: „Muszę teraz po tylu latach przyznać, że były to może najprzykrzejsze momenty z całego okresu mego Rektoretu".

Przypominamy, że Uniwersytet Wileński odbił na swą uroczystość medale pamiątkowe z podobiznami króla Stefana Batorego i Józefa Piłsudskiego. Sto lat temu odbito tamże medale z portretem tegoż króla i — Aleksandra I. Tak to niektóre osobistości pozostają w pamięci, inne mijają bez śladu.

•

Nawet Polsce, która już wiele prób sanacyjnych przeszła, zaimponowała wiadomość z Sowdepji, że lekarze odtąd leczyć będą tylko prawowiernych państwowców z partji rządzącej. Reszta wymrze bez ich pomocy, o ile nie będzie wymordowana. Jakiż to prosty sposób selekcji politycznej! Bo co za sens borykać się z narodowcami, bić, zasądzać, głodzić? Taki jeden z drugim wyliże się, odsiedzi, odkarmi licho wie czem, i znowu z nim kłopot. A ile przytem krzyku, że nieprawomocnie. Tymczasem, co może być gładszego? Zdarza się przecież cholera, szkarlatyna, niewolno również opozycjonistom ospy szczepić.. Iluż poprostu nie urodzi się, bo i akuszerki będą zetatyzowane. Zostaną w końcu przy życiu tylko rzetelni państwowcy. *Ex oriente lux*.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administacji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich, Zielna 47, tel. 19-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.